Fot. Bronisław Kempka

Pamięci Józefa Nyki

W numerze strona

Nad piśmiennictwem Józefa Nyki	495
124. rocznica pierwszego wejścia na Aconcaguę (6960 m) w Andach, w Argentynie	502
Federacja Akademickich Klubów Alpinistycznych – FAKA	526
Erazm Rozwadowski – pamiętamy	529
WEGA – Suplement	532

Biuletyn WEGA jest publikacją niekomercyjną, związaną z *Wielką Encyklopedią Gór i Alpinizmu*. Wszystkie numery są do dyspozycji w Jagiellońskiej Bibliotece Cyfrowej, z dostępem ograniczonym do terminali na terenie biblioteki. Można pobrać je także ze strony Wydawnictwa STAPIS: www.stapis.com.pl

Małgorzata Kiełkowska
mjkmountains@aol.com

Józef Nyka (1924 – 2021)

Nad piśmiennictwem Józefa Nyki

Część pierwsza – książki

Tatry

Pierwszą sygnowaną własnym nazwiskiem książką Józefa Nyki o tematyce tatrzańskiej była monografia krajoznawcza *Dolina Roztoki i Pięciu Stawów* (Sport i Turystyka, 1954). Pomysł jej napisania powstał 8 marca 1953 roku podczas spotkania z Adamem Nowakiem. Dzień później Józef Nyka zapisał, że ma gotowy konspekt. 17 III 1953 doszło do podpisania umowy z Wydawnictwem „Kraj" z terminem na październik 1953. W tym samym czasie powstawała *Żelazowa Wola*. 30-letni Autor, mimo problemów natury administracyjnej (przepustka!) i ledwie skrywanej niechęci innych zajmujących się tematyką tatrzańską, opisał w znakomity i wyjątkowo rzetelny sposób ten piękny fragment polskiej części Tatr Wysokich. Nawiązując do wzorca stworzonego przez Stanisława Berezowskiego dla tego typu opracowań, Józef Nyka pokazał w swoim pionierskim opracowaniu największe zalety swojej późniejszej twórczości – solidne studia terenowe, wszechstronna kwerenda, jasno sformułowane wnioski, a wszystko to plastycznie opisane piękną polszczyzną.

Zachęcony przychylnymi recenzjami (W[Ładysław] K[rygowski], „Wierchy" 23, 1954), Autor dwa lata później obdarzył miłośników literatury tatrzańskiej kolejną monografią. *Dolina Rybiego Potoku* to już prawdziwa perełka, która w pełni objawiła nieprzeciętne walory pióra Józefa Nyki. Książka ta do dzisiaj stanowi niezastąpione źródło wiedzy o rejonie Morskiego Oka.

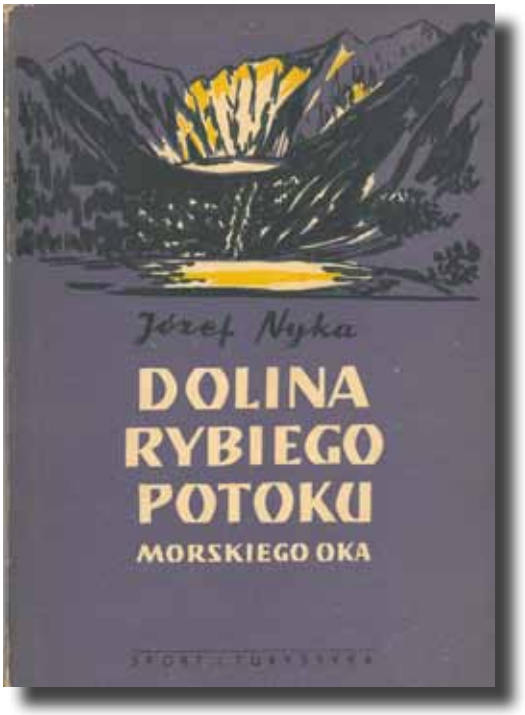

Niegdyś w jednej z recenzji monografii doliny tatrzańskiej Witold Henryk Paryski napisał, że tego typu wydawnictwo przerasta możliwości jednego autora i w obliczu interdyscyplinarnego charakteru takich opracowań, konieczne jest powołanie zespołu specjalistów z poszczególnych dziedzin. Józef Nyka nie zgadzał się z tym poglądem („Wierchy" 43, 1974) i logicznie wypunktował zalety wynikające z jednoosobowego autorstwa. Paryski później sam zresztą zaprzeczył swojemu poglądowi, wydając (wespół z małżonką) w 1973 roku *Encyklopedię tatrzańską* oraz w 1995 roku nieporównanie lepszą *Wielką encyklopedię tatrzańską*.

Obydwie monografie ugruntowały pozycję Józefa Nyki jako ukształtowanego i dysponującego świetnym warsztatem badawczym tatrologa. Po śmierci Tadeusza Zwolińskiego w 1955 roku i wobec coraz większego popytu na aktualny przewodnik po Tatrach, Justyn Wojsznis – znany alpinista oraz kierownik redakcji turystycznej wydawnictwa „Sport i Turystyka", zaproponował Nyce niezbędną aktualizację skądinąd świetnego *Przewodnika po Tatrach*. Przy okazji wykorzystano również talent plastyczny przyszłego redaktora „Taternika", który już wcześniej parał się grafiką książkową,

i kolejne wydania X (1958), XI (1961) i XII (1966) wzbogacone zostały przejrzystymi mapkami oraz panoramami jego autorstwa.

I wreszcie nadszedł rok 1969 – bardzo ważna data w dziejach tatrzańskiej literatury przewodnikowej. Po wielu przepychankach w wydawnictwie i drukarni(!) światło dzienne ujrzały *Tatry Polskie* Józefa Nyki, wydane przez „Sport i Turystykę" w nakładzie trzydziestu tysięcy egzemplarzy. Autor stworzył przewodnik doskonały pod każdym względem. Nawet format, wówczas na wskroś nowoczesny, znakomicie odpowiadał potrzebom tatrzańskich turystów. Przejrzysty układ, precyzyjne opisy szlaków turystycznych, trafnie dobrane liczne cytaty z literatury pięknej oraz pożyteczny słownik, liczący 120 haseł, zawierających opisy najważniejszych obiektów fizjograficznych, to tylko niektóre zalety przewodnika, który od ponad pół wieku jest niezastąpionym towarzyszem podczas tatrzańskich wędrówek.

Jakże trafne jest stwierdzenie Józefa Nyki, zawarte w pierwszym wydaniu Jego przewodnika *Gorce* (1959), że „wino zyskuje na jakości z upływem lat, przewodnik krajoznawczy – w trakcie kolejnych edycji". Doczekaliśmy się zatem w 2020 roku XXII wydania *Tatr Polskich* – dzieła doprawdy doskonałego i zaspokajającego potrzeby nawet najbardziej wybrednego turysty. Jako współautorka na okładce widnieje córka – Monika, która już od dawna aktualizowała kolejne edycje. Najnowsze wydanie, o prawie dwukrotnie większej objętości, zawiera opis 66 tras (jak w I wydaniu), 37 panoram, 16 mapek i planów, liczne „okienka" i tradycyjny słownik „Tatry w 140 hasłach".

Z inicjatywy Wydawnictwa Interpress wydano w 1971 roku nieduży album *W Tatrach Polskich* z tekstem i zdjęciami Józefa Nyki, a także z wkładką z treścią turystyczną. Zgodnie z profilem wydawnictwa przygotowano kilka wersji językowych, co w znakomity sposób propagowało nasze najwyższe góry. Polska wersja miała 20 tysięcy nakładu.

W 1972 roku pojawił się w księgarniach przewodnik obejmujący już całe Tatry. Wydany przez „Sport i Turystykę" w nakładzie 30 tysięcy egzemplarzy, szybko zniknął z księgarskich półek. Mimo wielkiego zainteresowania ze strony turystów, musiały minąć ponad dwie dekady, zanim pojawiło się wznowienie, przygotowane już przez prywatne wydawnictwo Trawers. „Duże" *Tatry* posiadały wszystkie zalety *Tatr Polskich*, przeniesione na cały obszar Tatr. Na ponad 600 stronach Autor opisał 222 szlaki, zilustrował to 90 mapkami, planami, panoramami i diagramami. Co ciekawe, żaden z tych wspaniałych przewodników nie doczekał się recenzji na łamach szacownych „Wierchów". Sam Józef Nyka w liście z 1 grudnia 2019 roku napisał do nas „…że moja pisanina jakoś zainteresowania recenzentów nie budziła". A szkoda!

Wychodząc naprzeciw zainteresowaniu Tatrami turystów z NRD, wydawnictwo „Sport i Turystyka" zaproponowało Autorowi wydanie niemieckiego odpowiednika *Tatr Polskich*. W 1976 ukazał się napisany na nowo i przykrojony do potrzeb obcokrajowców przewodnik *Die Polnische Tatra* z ciekawym „Zakopane Who-Is-Who", zawierającym 28 krótkich biogramów znanych postaci związanych z Tatrami oraz Zakopanem. Około 1980 roku zostało przygotowane rozszerzone wznowienie, z którego jednak wydawnictwo zrezygnowało wobec zmian w sytuacji politycznej.

Po przemianach ustrojowych wydawanie przewodników Józefa Nyki przejęło wspomniane już Wydawnictwo Trawers. Ze względów praktycznych w 1997 roku rozdzielono tekst przewodnika na *Tatry Polskie* i *Tatry Słowackie*. Te ostatnie doczekały się do 2017 roku XI wydań. Jeszcze w 1998 roku ukazała się urocza i bogato ilustrowana książeczka *Nad Morskim Okiem*. Na 72 stronach Autor zestawia najważniejsze wiadomości o Dolinie Rybiego Potoku, wspomina sylwetki pierwszych odkrywców, turystów, taterników i artystów związanych z Morskim Okiem, nie zapominając o rodzinie Łapińskich.

GORCE – PIENINY – PODHALE

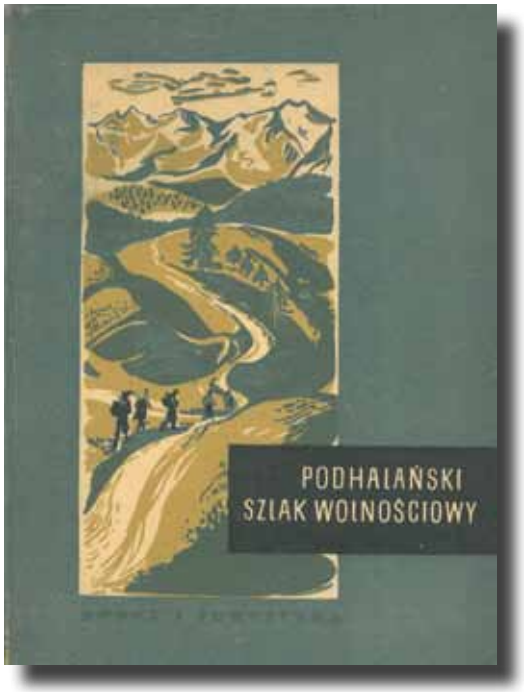

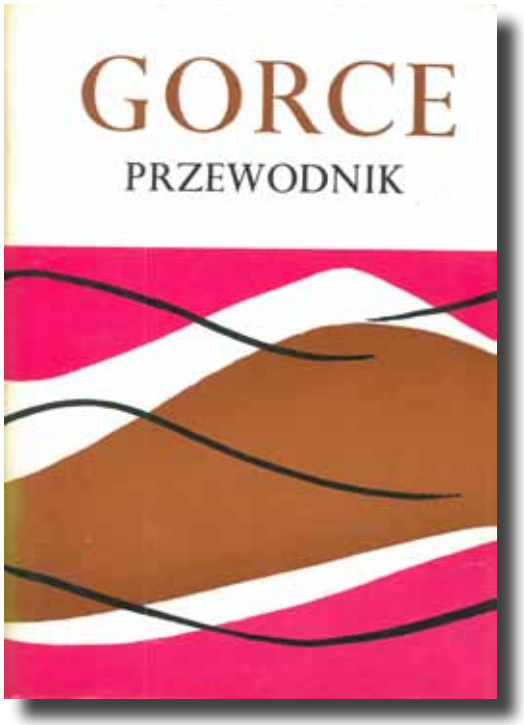

Współpracę z wydawnictwami turystycznymi („Kraj", później „Sport i Turystyka") Józef Nyka nawiązał dzięki swojemu przyjacielowi – Adamowi Nowakowi (swoje publikacje krajoznawcze podpisywał jako Adam Chowański). Poznali się w sierpniu 1947 roku podczas egzaminu do Wyższej Szkoły Dziennikarskiej. Przez pół wieku przyjaźnili się i blisko współpracowali, jako autorzy i dziennikarze, aż do tragicznej śmierci Adama w październiku 1997. W 1952 roku ukazał się nakładem „Kraju" przewodnik Adama Chowańskiego *Leszno Wielkopolskie*, do którego okładkę zaprojektował przyszły zdobywca północnej ściany Schiary. Trzy lata później „Sport i Turystyka" wydało przewodnik *Podhalański Szlak Wolnościowy*. Pomysłodawcami oraz głównymi autorami tekstu byli Józef Nyka i Adam Chowański.

Wojenne losy rzuciły rodzinę Nyków na Podhale. Niespełna szesnastoletni Józek od 1 marca 1940 zaczął pracę w tartaku firmy Hobag w Czarnym Dunajcu, niewiele później był już w konspiracji, a w 1943 został zaprzysiężony jako żołnierz Armii Krajowej. Głównym terenem działania I Pułku Strzelców Podhalańskich były Gorce. Dla tych pięknych gór nie było odrębnego przewodnika, nie licząc dużego rozdziału w znakomitym *Przewodniku po Beskidach Zachodnich i Pieninach* Kazimierza Sosnowskiego. I tak w połowie lat 50. XX w. były partyzant zaczął jeszcze raz przemierzać gorczańskie polany, nadal z nieodłącznymi notatnikiem i aparatem fotograficznym, ale już bez karabinu. Efektem tych wędrówek i jak zwykle wyjątkowo wnikliwych obserwacji był pierwszy przewodnik po Gorcach. To niezwykle potrzebne opracowanie doczekało się trzech wydań, systematycznie rozszerzanych i aktualizowanych („Sport i Turystyka", I wyd. 1959, II wyd. 1965, III wyd. 1974).

Do najbardziej ukochanych przez Józefa Nykę gór należały niewątpliwie Pieniny. Przedwojenny dorobek literatury przewodnikowej, dotyczący Pienin, był skromny (K. Sosnowski, W. Gadowski, F. Rapf). Pieniny Spiskie i Małe Pieniny (oprócz wycieczki na Wysoką) były w ogóle pomijane. Sytuacja zmieniła się diametralnie w 1963 roku. Ukazał się wówczas kolejny duży, monograficzny przewodnik poświęcony Pieninom, w najszerszym tego słowa rozumieniu. Po

roku 1989 przewodnik doczekał się kolejnych 10(!) wydań; ostatnie, XIII, po raz kolejny gruntownie zaktualizowane, trafiło na półki księgarskie w 2019 roku. Ale to już zasługa Wydawnictwa Trawers.

Wydane w stosunkowo krótkim czasie, dwa duże przewodniki po sąsiednich pasmach miały podobną, ciekawą i oryginalną konstrukcję. Po wiadomościach ogólnych następował przegląd najważniejszych miejscowości, dokładny opis szlaków turystycznych i słownik ważniejszych obiektów fizjograficznych na opisywanym terenie. Przed 60 laty było to zupełne novum w polskiej literaturze krajoznawczej. W obu przewodnikach na szczególną uwagę zasługuje nazewnictwo ludowe – ze znawstwem i pieczołowitością zebrane przez Autora podczas wnikliwych studiów terenowych. Jedną z metod pracy było wynajmowanie kompetentnego górala, który szedł z Autorem na cały dzień w teren. W ten sposób np. w listopadzie 1960 zostało zgromadzone nazewnictwo w Przełomie Pienińskim i w Małych Pieninach. Inna metoda to listy wysyłane do zaprzyjaźnionych informatorów ze specjalnie spreparowanymi pytaniami.

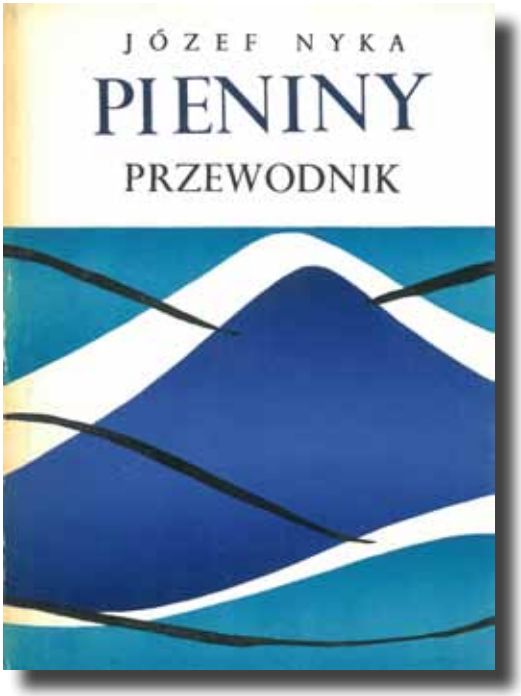

W popularnej serii przewodników po uzdrowiskach oraz miejscowościach wczasowych („Sport i Turystyka") ukazało się w 1965 roku opracowanie Józefa Nyki *Szczawnica, Krościenko i okolice*, później jeszcze dwukrotnie wznawiane (1973, 1979). Wspomniane już wcześniej Wydawnictwo „Interpress" opublikowało w 1968 roku dwa kolejne albumy o polskich górach – *W Gorcach* i *W Pieninach*. Do obu ciekawy tekst napisał Józef Nyka, w przypadku *Gorców* był też autorem zdjęć. Albumy doczekały się również kilku wersji językowych. Pozostając przy tematyce pienińskiej, należy jeszcze przywołać wielce pożyteczną broszurę *Spływ Przełomem Pienińskim* z pierwszym szczegółowym omówieniem historii spływu. Wydana przez Wydawnictwo PTTK „Kraj" w 1984 roku (wyd. II 1987 r.), osiągnęła nakład 110 tysięcy egzemplarzy. A także tekst w albumie *Pieniny* (Wydawnictwo „Voyager", 2000 r.) w wersjach polskiej i słowackiej tego wydawnictwa.

Pozostałe opracowania turystyczno-krajoznawcze

W 1954 roku miał miejsce debiut książkowy Józefa Nyki. O dziwo, rzecz była nie o górach, lecz umiejscowiona została na Mazowszu nad Utratą – w Żelazowej Woli. Jak sam Autor wspominał, włożył w nią bardzo dużo pracy. W marcu 1953 pisał: „Nad *Żelazową Wolą* siedzę mocno, przewracam z pasją tomy czasopism, wyłapuję drobne i niby nic nie znaczące notatki, budując z nich żmudnie całość. Już mam materiał, jaki w tej formie nie był dotąd publikowany. W tym mnóstwo ciekawostek". To była zresztą norma, która obowiązywała do końca Jego pracowitego żywota. Efekty tych dociekań, burzących wiele chopinowskich legend, bynajmniej nie zachwyciły skostniałego Towarzystwa im. Chopina. Książka *Żelazowa Wola* była na cenzurowanym (!). Jak pisze „sprawca" całego zamieszania „legenda jest mocniejsza od życia, a przynajmniej od historii". Książka znalazła jednak uznanie

u czytelników i jej drugie wydanie (tekst dla drugiej edycji został napisany na nowo) ukazało się nakładem „Sportu i Turystyki” w 1960 roku.

Wobec coraz większej ilości turystów z byłej NRD, odwiedzających Polskę, Józef Nyka został poproszony o napisanie przewodnika *Polen. Kleiner Touristenführer durch Südpolen und Szczecin*. W autorskiej dedykacji, jaką posiadamy w zapomnianym już przewodniku, czytamy, że „pod względem zasięgu to największy dziwoląg w całej polskiej literaturze przewodnikowej”. Rzeczone opracowanie obejmowało m.in.: Wrocław z Sudetami, Kraków z Tatrami i Pieninami i na deser Szczecin! Dużą ciekawostką są dwie autorskie panoramy Karkonoszy. Przewodnik doczekał się kilku edycji o łącznym nakładzie ponad 50 tysięcy egzemplarzy.

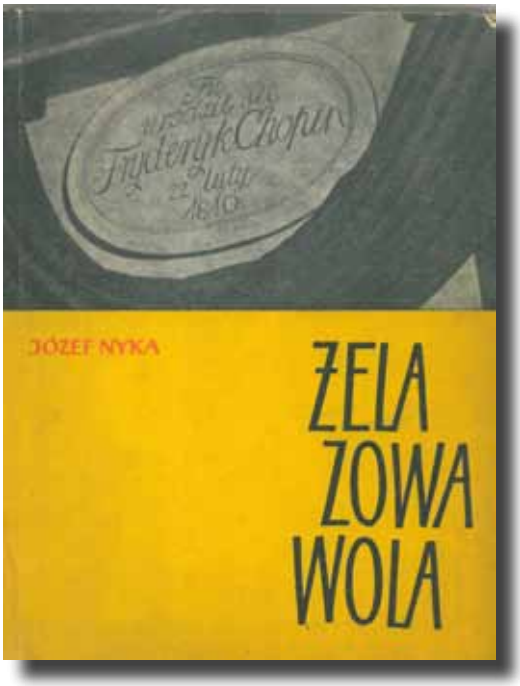

W latach 60. i 70. XX wieku jedną z najbardziej poszukiwanych książek był *Przewodnik po Polsce*, wydany po raz pierwszy przez „Sport i Turystykę” w 1963 roku. Wyjątkowo obszerny (wyd. IV, 1976, 868 stron) zawierał opisy 100 tras głównych i 318 wariantów, które obejmowały cały kraj. Śmiało można uznać to dzieło za jedno z największych osiągnięć polskiego krajoznawstwa. Przewodnik był wynikiem pracy wielu wytrawnych krajoznawców, m.in. Józefa Nyki. Co prawda trudno dzisiaj dokładnie określić, jaki był Jego udział, ale na pewno znaczący. Z notatek będących w rękach rodziny wynika, że był autorem koncepcji, 1/3 tekstów, w tym obejmujących partie górskie (m.in. Beskidy, Tatry). Nieraz wspominał, że właśnie w czasie prac nad *Przewodnikiem po Polsce* ukształtował się jego oszczędny, ale niebywale precyzyjny sposób przekazu. Koncept *Przewodnika po Polsce* powstawał w oparciu o studia nad bedekerami niemieckimi i angielskimi, do wielu rozwiązań Józef Nyka przekonywał wydawcę w trakcie niezliczonych narad.

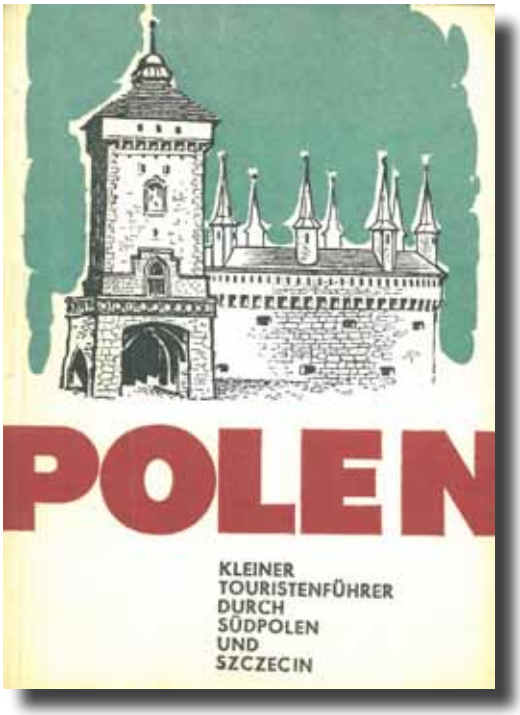

Wkrótce wydawnictwo „Sport i Turystyka” przystąpiło do opracowania przewodnika dla obcokrajowców. *Travel Guide Poland* (1970) powstał przy walnym udziale Józefa Nyki (koncepcja i około połowy tekstów, w tym wszystkie górskie). Powstały też wersje w innych językach – *Reiseführer Polen* („SiT” 1971) i *Guide de voyage Pologne* („SiT” 1971). Każda wersja językowa została wydana w nakładzie 10 tysięcy egzemplarzy. Z okazji 100 rocznicy powstania Towarzystwa Tatrzańskiego Zarząd Główny PTTK wydał w 1973 roku niewielką broszurę

Józefa Nyki *Wierchy Polskie* 1873 – 1973, w której omówione są w telegraficznym skrócie dzieje polskiej turystyki górskiej.

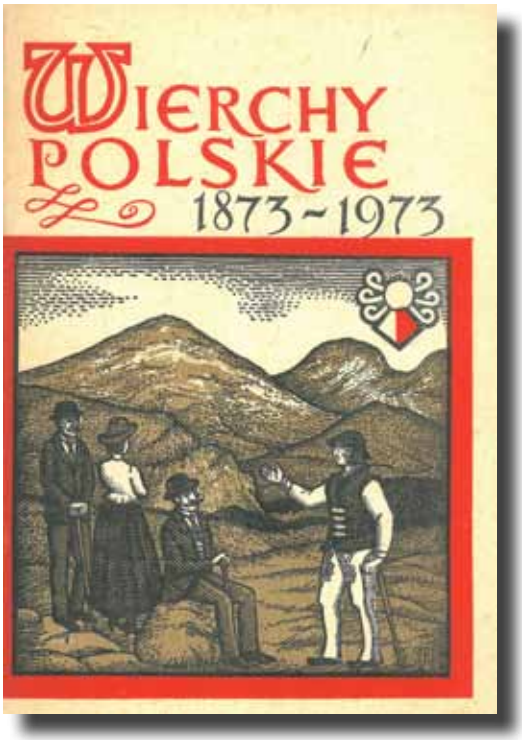

Taternictwo i alpinizm

Część swojej przeogromnej wiedzy dotyczącej historii polskiego i światowego alpinizmu Józef Nyka zawarł w redagowanym przez siebie „Taterniku" (1963–1991), „Głosie Seniora" (1980–2016), „Górskiej Biblioteczce Historycznej" (wcześniej wydawanej pod nazwą „Biblioteczka historyczna Głosu Seniora") oraz niezliczonej ilości artykułów i notatek, rozsianych po wszystkich ważniejszych czasopismach alpinistycznych i turystycznych na całym świecie. Legendarna wręcz akrybia Józefa Nyki i ogrom prac redakcyjnych siłą rzeczy wpłynęły na zaskakująco niewielki dorobek książkowy. Była to niejako zapłata za benedyktyńskie studia, wielokrotne sprawdzanie raz już ustalonych faktów i cyzelowanie tekstów.

W 1976 roku nakładem „Krajowej Agencji Wydawniczej" w serii „Wszystko o…" ukazała się w niewielkim formacie, ale za to w sporym nakładzie (40 tysięcy egzemplarzy), książeczka *Alpinizm*, napisana z wielką swadą przez Józefa Nykę. Wyjątkowo zgrzebny poziom edytorski (papier V klasy) zupełnie nie przystawał do poziomu tekstu. Książkę entuzjastycznie zrecenzował na łamach 46 tomu „Wierchów" (1977) Jan Alfred Szczepański, domagając się wręcz od autora wersji znacznie rozszerzonej i wydanej w kunsztowniejszej szacie graficznej. Na ponad 180 stronach znalazło się bardzo dużo interesujących wiadomości z historii polskiego i światowego alpinizmu i mimo popularnej formy, książka dowodnie świadczy o wyjątkowej erudycji Autora i umiejętności popularyzowania wiedzy.

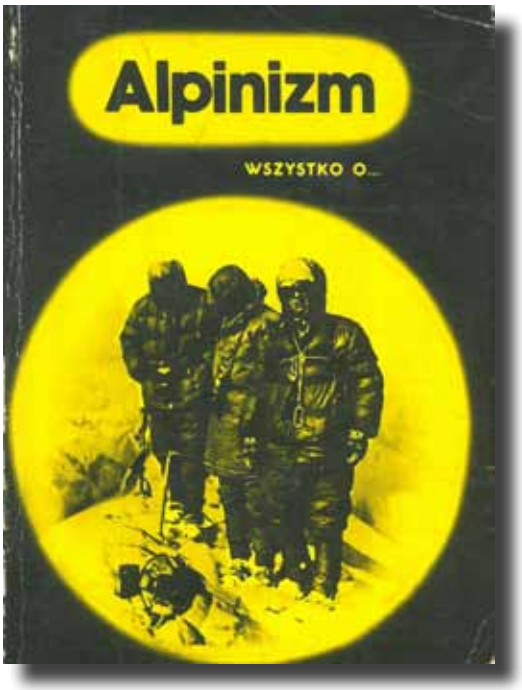

Jeszcze skromniej prezentuje się kolejne dziełko, które powstało z okazji 50. rocznicy pierwszej polskiej wyprawy w Himalaje. Broszura ukazała się wyłącznie w języku angielskim pod tytułem *Himalaya & Karakoram. Selected polish climbs 1939–1989*". To niezwykle pożyteczne opracowanie wydano w 1989 roku. Nakładcą był PZA, a broszura przygotowana została jako gratyfikacja na Walny Zjazd. Jest to zestawienie wszystkich polskich wypraw w najwyższe góry świata, uporządkowane alfabetycznie wg nazw szczytów. W opisie każdej z nich odnotowano organizatora, kierownika i członków wyprawy

oraz obraną drogę. Cennym uzupełnieniem są wskazówki bibliograficzne. Niedawno obchodziliśmy już 80. rocznicę zdobycia Nanda Devi East i nie od rzeczy byłoby pokusić się o podobne opracowanie. Czas ucieka, bohaterowie odchodzą, a kurz niepamięci osiada coraz grubsza warstwą.

Na uwagę zasługują jeszcze dwie książki: *Burza nad Alpami* („Iskry", 1958 r., wyd. II 1959 r.) i *Ostatni atak na Kunyang Chhish* („Sport i Turystyka", 1973 r.). W obu przypadkach Józef Nyka był redaktorem, bądź współredaktorem całości. Mimo niezbyt życzliwych recenzji w „Taterniku", zbiór reportaży z obozów alpejskich w 1957 roku, obfitujących we wspaniałe sukcesy i wielkie tragedie, do dzisiaj czyta się z niesłabnącym zainteresowaniem. *Burza nad Alpami* miała szczególne znaczenie dla jej redaktora. Bardzo go dotknęły głosy krytyki. Był pomysłodawcą tej książki, z konspektem poszedł najpierw do „SiT", a potem do „Iskier". Tak sam pisał: „Książka została napisana i zredagowana w dwa miesiące i ukazała się w niespełna rok po alpejskiej tragedii. Następne wydanie, już w dużym nakładzie, wyszło w ramach „Biblioteki Powszechnej". Środowisko przyjęło ją bardzo przychylnie, z Argentyny nadesłał entuzjastyczny list inż. Wiktor Ostrowski. Natomiast Zarząd KW uznał *Burzę nad Alpami* za książkę „o posmaku sensacji", a jeden ze znanych działaczy (już nieżyjący) domagał się na plenum objęcia całej tematyki górskiej... cenzurą klubową. W „Taterniku" ukazały się – obok pozytywnej recenzji Jana Józefa Szczepańskiego – ostro karcące mnie recenzje Antoniego Gąsiorowskiego i Andrzeja Grzybkowskiego, które odebrały mi – wówczas outsiderowi niewtajemniczonemu w politykę KW – ochotę do podobnych inicjatyw".

Książka o naszym największym sukcesie eksploracyjnym w Karakorum jest bezsprzecznie jedną z najlepszych polskich książek wyprawowych i stanowi dla innych wzór godny naśladowania. Warto wspomnieć, że doczekała się również edycji niemieckiej – *Gipfelsturm im Karakorum* (Brockhaus Verlag, Leipzig 1977). To także zasługa redaktora, który bardzo dbał o propagowanie naszych sukcesów na arenie międzynarodowej.

Warto jeszcze wspomnieć o wielkim zaangażowaniu Józefa Nyki w tworzenie monumentalnej, pięciotomowej księgi polskiego alpinizmu *W skałach i lodach świata.* Uwaga ta dotyczy ostatnich trzech tomów. W tomie *Od Łomnicy do Mont Blanc* rozdział poświęcony modernistycznym wspinaczkom w Dolomitach, a w tomie *Himalaje-Karakorum* chronologiczny wykaz ważniejszych polskich osiągnięć w górach świata są jego autorstwa. Nieraz wspominał niekończące się rozmowy telefoniczne z Kazimierzem Saysse-Tobiczykiem, dotyczące ogólnej koncepcji tej serii, jak i poszczególnych rozdziałów. Niestety, to wspaniałe dzieło zostało doprowadzone zaledwie do wczesnych lat 70. XX wieku. Pewną namiastką kontynuacji była jednotomowa synteza polskiego alpinizmu, wydana przez „Wiedzę Powszechną" w 1985 roku pod tytułem *W górach wysokich*. Jej opiniodawcą i autorem krótkiej notatki o Andach Peruwiańskich był Józef Nyka.

Z okazji 11 edycji Explorers Festival w Łodzi wydano w 2009 roku bardzo potrzebną i ważną broszurę Józefa Nyki *Taternicy Ojczyźnie 1939–1945*. Tekst pod tym samym tytułem ukazał się rok wcześniej w ramach „Górskiej Biblioteczki Historycznej" (zeszyt 6 (26)). Festiwalowa wersja została rozbudowana i ukazała się w bardziej okazałej szacie graficznej. Broszura jest próbą podsumowania udziału polskich taterników w walce z okupantem w latach 1939–1945. A był to wkład bardzo istotny, okupiony niestety wieloma ofiarami. To pionierskie opracowanie jest wyrazem hołdu złożonego taternikom-żołnierzom i konspiratorom z okazji 70. rocznicy wybuchu II wojny światowej.

Na zakończenie pragnę podziękować Monice Nyczance, która poprawiła wszystkie błędy i nieścisłości. Poza tym wzbogaciła tekst o nigdy niepublikowane notatki Ojca, które wyjaśniają wiele szczegółów związanych z krajoznawczym dorobkiem Józefa Nyki.

Marek Maluda

RZECZY WIELKIE I MAŁE W ALPINIZMIE

124. rocznica pierwszego wejścia na Aconcaguę (6960 m; WEGA, t. IV str. 3-5) w Andach, w Argentynie

W sierpniu 2021 roku minęła 124 rocznica pierwszego wejścia na Aconcaguę, najwyższy szczyt Andów i całej Ameryki, wznoszący się w Kordylierze Zachodniej, w Argentynie.
Pierwszą wyprawę na ten szczyt zorganizował i prowadził Richard Paul Güssfeldt (Güßfeldt, t.VI, str. 304), niemiecki alpinista, geolog, geograf i podróżnik. Ekspedycja miała charakter naukowy (otrzymała wsparcie z niemieckiej akademii nauk), ale dla Güßfeldta, znakomitego alpinisty, równie ważna była eksploracja alpinistyczna. On też pierwszy podjął próbę wejścia (20–21 lutego 1883 roku) na wierzchołek tej dziewiczej góry; podczas drugiej próby, w dniach 4–5 marca tego samego roku, osiągnął wysokość 6600 m.

Pierwszego wejścia na Aconcaguę dokonała w 1897 roku wyprawa brytyjska, kierowana przez Edwarda Arthura Fitzgeralda (t. VI, str. 242; Fitz Geralda). Uczestniczyli w niej naukowcy: Gosse, Lightbody, Trafford i Stuart Vines oraz szwajcarscy przewodnicy: Nikolaus Lanti, Gabriel Lochmatter (t. VI, str. 462), Joseph Pollinger (t. VI, str. 613) z bratem, Weibel i Matthias Zurbriggen (t. VI, str. 848). 14 stycznia na wierzchołku góry stanął samotnie Matthias Zurbriggen, Edward A. Fitzgerald dotarł ostatecznie do wysokości 6900 m. Kilka dni później dwóch członków ekspedycji, Stuart Vines i przewodnik Nikolaus Lanti, dokonało drugiego wejścia na szczyt (13 lutego).

Próby zdobycia Aconcagui Güßfeldt opisał w swojej książce *Reise in den Andes vov Chile und Argentinien* (wyd. Pätel, Berlin1888). Książka w latach trzydziestych XX w. była bardzo trudno dostępna, więc te opisy zostały przedrukowane w czasopiśmie „Andina", w numerze 4 z 1930 roku, poświęconym Aconcagui. W tym numerze jest też krótka relacja z pierwszego wejścia na szczyt i dwa unikatowe zdjęcia z wyprawy Fitzgeralda, pochodzące z jego książki *The Highest Andes* (London 1899). Jedno z nich przedstawia wierzchołek Aconcagui.
Relacje z pierwszych prób zdobycia Aconcagui oraz pierwszego wejścia na szczyt przedstawione są dalej („Andina" nr 4, 1930; archiwalne zbiory M. i J. Kiełkowskich)

Warto tu dodać, że polskiego wejścia na Aconcaguę dokonali Stefan Daszyński (t.VI, str. 183), Konstanty Narkiewicz-Jodko (t.VI, str. 543), Stefan Osiecki (t.VI, str. 567) i Wiktor Ostrowski (t.VI, str. 568) – uczestnicy pierwszej polskiej wyprawy w Andy w 1933/1934 r. Polacy weszli na wierzchołek pn.-wschodnią ścianą (1. przejście); był to wówczas polski rekord wysokości.

Małgorzata Kiełkowska

ANDINA

Zeitschrift für Naturfreunde und Wanderer

Organ der Deutschen Ausflug-Vereine Valparaiso und Santiago.

Bezugspreis: Jährlich 6 Hefte für Mitglieder des D. A. V.: frei. für Nichtmitglieder . . . $ 12.—

Herausgeber: Deutscher Ausflug-Verein Valparaiso, Casilla 1567.
Schriftleitung: Erich Werner, Valparaiso, Casilla 925.
Druck: Imprenta Victoria, Valparaiso.

8. Jahrgang. Juli/August 1930 Heft 4.

ACONCAGUA-HEFT.

Blick auf den Aconcagua vom Portezuelo del Penitente aus. (Phot. Günfeldt).

Die Bezwinger des Aconcagua.

Erstbesteigung:

Mathias Zurbriggen — 14. Januar 1897.

2. Besteigung:

Stuart Vines und Lanti — 13. Februar 1897.

3. Besteigung:

Dr. Robert Helbling — 31. Januar 1906.

4. Besteigung:

C. W. R. Macdonald
M. F. Ryan
I. Cochrane — 11. Februar 1925.

Den Gipfelkamm (cresta final) des Aconcagua erreichten:

Sir Mc. Conway und sein Führer Maquinaz	7. Dezember 1897.
Dr. Friedrich Reichert	2. Februar 1906.
Eilert Sundt und Thorleif Bache	28. September 1915.
Alfred Koelliker	4. Oktober 1915.

Der Aconcagua.

Besteigungen und Besteigungsversuche.

20.—21.	2.	1883	Erster Besteigungsversuch durch Güssfeldt.
4.—5.	3.	1883	Zweiter Besteigungsversuch durch Güssfeldt (6.000 m).
23.—27.	12.	1896	Zurbriggen erreicht 6.600 m.
2.	1.	1897	Fitz Gerald und Führer erreichen 6.900 m.
12.	1.	1897	Zurbriggen erreicht den Sattel zwischen beiden Kuppen.
14.	**1.**	**1897**	**Erstbesteigung des Aconcagua durch Zurbriggen.**
16.—21.	1.	1897	Mitglieder des Deutschen Turnvereins Santiago erreichen 6.600 m.
19.—23.	1.	1897	Besteigungsversuch durch Fitz Gerald und Stuart Vines.
7.—14.	2.	1897	2. Versuch durch Fitz Gerald und Stuart Vines.
13.	**2.**	**1897**	**2. Besteigung des Aconcagua durch Stuart Vines und Lanti.**
7.	12.	1897	M. Conway und Führer Maquinez erreichen den Gipfelkamm.
	1897/1898		Besteigungsversuch durch Mitglieder des Deutschen Turnvereins Santiago.
11.	2.	1905	Besteigungsversuch Dr. Reichert.
	1905/1906		Besteigungsversuch Wolgewood — Kaufmann.
31.	**1.**	**1906**	**3. Besteigung des Aconcagua durch Dr. Rob. Helbling.**
2.	2.	1906	Dr. Reichert erreicht den Gipfelkamm.
	3.	1906	Besteigungsversuch Dr. Schiller und Dr. Lehmann-Nitsche (6.000 m.)
	1.	1907	Versuch Dr. Sillem.
		1907	Versuch Dr. Reginald Rankin.
9.	2.	1909	Versuch Heggie, Mondini, Reynier (6.250 m.)
28.	9.	1915	Eilert Sundt und Thorleif Bache erreichen den Gipfelkamm.
4.	10.	1915	A. Köllikor erreicht den Gipfelkamm.
9.	2.	1919	Besteigungsversuch durch Mitglieder des Deutschen Ausflugvereins Valparaiso.
11.	**2.**	**1925**	**4. Besteigung des Aconcagua durch C. W. R. Macdonald, M. F. Ryan und I. Cochrane.**
15.	7.	1928	Besteigungsversuch Basil Marden (tödlich verunglückt).
	12.	1928	Besteigungsversuch R. Magelhaes — Hafers (findet die Leiche von Marden).
17.	12.	1929	Besteigungsversuch durch die argentinischen Leutnants Nanar und Pujato (erreichen 6.700 m.)

Erster Anblick des Aconcagua vom Valle Hermoso aus.

(Aus: Reise in den Anden von Chile und Argentinien).

17. Februar 1883.

Paul Güssfeldt.

In dem Boquete del Valle Hermoso haben wir ein sanftes Hochtal, in welchen weidendes Vieh seine Hufe eindrückt. Die einfassenden terassirten Felsberge nehmen die Aussicht rechts und links, während aus entgegengesetzten Richtungen, aus Ost und aus West, die schmalen Zugangstäler sich aufziehen. Diese sind nur erkennbar an ihren oberen Gehängen, zwischen deren Windungen eine dämmernde Luft über dem unsichtbaren Grunde lagert.

So milde, so wenig vorbereitend gestaltet sich auf dem Boquete del Valle Hermoso (3.565 m.) der Eintritt in eine Gegend, welche so erhaben ist, so wild, so unvergleichlich; wo ein Kontinent kulminiert; wo der König thront; wo der Aconcagua sich aufrichtet inmitten einer Landschaft von königlichem Gepränge. Bald sollte sie sich enthüllen mit allen ihren fremdartigen, überwältigenden Reizen — eine Bringerin von Schmerz und Lust.

Wir ritten über den sumpfigen Boden fort, hinab zu argentinischem Gebiet, in einer Kurve, welche gegen die Ostrichtung zuerst nach links, gegen Norden, dann nach rechts, gegen Süden, ausbog. Der Abstieg geschah in einem Täldhen von unbedeutendem Fall, und bald wanderten wir in ein grösseres Tal, welches, von rechts kommend, schnurstracks nach Nordost fällt. In dieser Richtung öffnete sich nun hier ein erster Einblick in das Valle Hermoso; es konnte auf ein weites Stück übersehen werden, noch ehe sein Grund, etwa 1.000 Fuss tiefer, von uns betreten worden sollte.

Wenn je ein Name richtig gewählt wurde, so ist es dieser. «Hermoso», schön! musste ein Tal genannt werden, in welchem Anmut und Grossartigkeit so geschwisterlich ineinander aufgegangen sind wie bei diesem. Ein stundenweit überblickbarer grüner Talboden, in der behaglichen Ruhe eines unbewegten Sees daliegend; zerrissene buntscheckige Uferfelsen; linker Hand eine vielgipfelige Schneekette, den 3.000 m. hohen Grund um mehr als 3.000 m. überragend, und eine geradezu venetianische Farbenpracht wirken hier zusammen. Die goldene Abendsonne lag auf den Ketten des fernen Hintergrundes und entlockte ihnen Töne jenes warmen Purpurrotes, an welchem die Bilder des Paolo Veronese kenntlich sind.

Plötzlich wurde der Aconcagua — aus dem Niveau von 3.000 m. sichtbar; ein Moment von unvergesslicher Wirkung, wohl der merkwürdigste der ganzen Reise. Wir können uns auf gewisse Ereignisse noch so vorbereitet wähnen, wenn sie eintreten, so treffen sie uns mit der ganzen Wucht des Unerwarteten. Der Tod geliebter Personen wirkt also, auch wenn ihr Leiden jede Hoffnung ausgeschlossen hatte; und so wirkte nun auf mich der erste Anblick des Aconcagua. Hätte ich nicht die Absicht gehabt, ihn zu ersteigen, so hätte Bewunderung vor der grossen Schöpfung allein die Seele ganz erfüllt; aber ich wollte ihm den Fuss auf den Nacken setzen; mir stockte der Atem, und eine heilige Scheu überfiel mich,- etwas von der Aufregung vor der Schlacht, die einen bewunderten Gegner in den Kampf ziehen soll.

Ich liess die ganze Karawane weiterziehen, warf mich auf den Boden und starrte durch die Lüfte gerad' auf den Berg los.

Zur rechten Hand ragte er auf, in einer Entfernung von etwa 35 Kilometern, in südsüdöstlicher Richtung. Er wandte mir eine breite dachförmige Fläche zu, auf welcher wenig Schnee lag. Der Dachfirst war deutlich abge-

Karte des Aconcagua-Gebietes nach Aufnahmen von Dr. Paul Güssfeldt 1882/1883.

Aconcagua vom Aufstieg zum Espinacito-Pass aus.

Aconcagua vom Valle Penitentes aus.

grenzt; denn gerade in seine Endpunkte fielen die beiden Gipfel: der links erscheinende höher als der rechts erscheinende, aber nur um 70 m., wie später ausgeführte Messungen ergaben. Zwischen den beiden Eckspitzen zog sich die Kammlinie hin, nicht als ausgezahnter Grat, sondern sanft geschwungen, in der Mitte nocheinmal eine Erhebung tragend, letztere jedoch 120 m. niedriger, als der Kulminationspunkt. Es war unmöglich zu entscheiden, ob es sich bei diesem Anblick um einen echten Kamm oder um das Stück eines Kraterrandes handelte.

Auch für die Tektonik des höchsten Andengipfels kam die Halde als Aufbauglied zur Geltung; denn die Nordwestseite ist eine homogene, düstere, steile Fläche. Sie bewirkt die dachförmige Gestalt und zieht sich nach oben bis zur Kammlinie auf, welche einem durchbrochenen Mauerkranz gleicht. Die Basis der Halde liegt indessen bereits sehr hoch und mag bei 5.500 m. aufsetzen; die Seitenwände werden von anstehendem Gestein gebildet, in welchem braune, gelblichweisse und rote Farbentöne mit einander wechseln. Eine grossartige Firnbekleidung schien die nordöstlichen Flanken zu bedecken, die also für meinen Standpunkt mehr nach links hin lagen; dort hatte man ähnliche Eindrücke wie am Montblanc oder am Illimani. Die Berge der näheren Umgebung traten so sehr gegen den Aconcagua zurück, dass sie seiner aufragenden Masse recht eigentlich als Folie dienten, und auf meilenweite Entfernung beherrschte sein hochgetürmter Bau das Gebirge in unbestrittener Glorie. Zwei weisse Wolken standen über ihm, kleiner und kleiner werdend vor der aufziehenden Nacht sich verflüchtigend. Das sinkende Tagesgestirn setzte die Flächen der dachförmigen Pyramide ins Relief und schied mit seinen Strahlen die dunkle unheimliche Tiefe von der ätherumspielten Höhe des Gipfels. Von oben her schien keine Gefahr zu drohen, um so grauiger sah's in der Tiefe aus, in felsigen Pallisaden starrte das Fundament auf; Dantes lasciate ogni speranza war hier in Stein umgesetzt.

Trotzdem liess ich die Hoffnung nicht sinken und hielt mich an die Erfahrung, dass Felsgebilde aus der Ferne oft unbezwingbar erscheinen; und der oberen 1.800 m. glaubte ich ganz sicher zu sein. Aber es hiesse die Treue der Erzählung fälschen, wenn an dieser Stelle verhehlt würde, dass quälende Zweifel die Herrschaft über mich gewannen; dass die erste Nacht auf argentinischem Boden unter einem circulus vitiosus von Grübeleien verging, deren erschöpfendes Spiel den stärkenden Schlaf fernhielt.

Paul Güssfeldt.

Mit dem Aconcagua ist für ewige Zeiten der Name des deutschen Gelehrten und Bergsteigers Dr. Paul Güssfeldt verknüpft. Güssfeldt war der erste, der eine Besteigung des Aconcagua versuchte. Wissenschaftliche Interessen trieben ihn vor allem zu diesem Unternehmen, weniger bergsteigerischer Ehrgeiz.

Zweimal versuchte Güssfeldt die Bezwingung des Riesen, beide Male mußte er wieder umkehren, ohne den Gipfel erreicht zu haben. Die zu einer Höhe von 6.600 Metern gelangte er.

Wenn es ihm auch nicht gelang, den Berg zu ersteigen, wenn ihm auch die durch die letzte Erkenntnis über den geologischen Aufbau des Berges verschlossen blieb, so ist Güssfeldts Forscherarbeit in diesem Gebirgsteil jedoch so grundlegend und eingehend, daß sein Name immer an erster Stelle in der Erforschungs- und Besteigungsgeschichte des höchsten Berges der neuen Welt stehen wird.

Güssfeldt war der Wegbahner für alle späteren Besteigungen, er entdeckte den aus nördlicher Richtung kommenden Weg aus dem Valle Hermoso. Den grossen Gletscher, den Güssfeldt kartographisch aufnahm und überschritt hat die argentinische Regierung in Anerkennung von Güssfeldts Verdienst «Ventisquero Güssfeldt» benannt.

Die Ergebnisse seiner Aconcaguaforschungen wie überhaupt seiner ganzen Reisen in den chilenisch-argentinischen Anden legte Güssfeldt in dem Buche «Reise in den Anden von Chile und Argentinien» (1888 Berlin, Pätel) nieder. Das Buch ist heute völlig vergriffen und auch antiquarisch kaum noch zu beschaffen.

Wir bringen in diesem «Aconcaguaheft» Güssfeldts Berichte über seine beiden Besteigungsversuche als Abdruck aus dem eben genannten Buche. Es bleibt zu hoffen, daß der Verlag des Buches sich doch noch einmal zu einem Neudruck entschließt, sicherlich würde das Werk hier und auch in Deutschland viele neue Freunde gewinnen!

Dieser Güssfeldts Leben seien einige Daten angeführt. Er wurde am 14. Oktober 1840 in Berlin geboren. Er studierte in Heidelberg, Berlin, Giessen und Bonn Mathematik und Naturwissenschaften und habilitierte sich 1868 als Dozent der Mathematik zu Bonn. Den Krieg 1870/71 machte er als Kriegsfreiwilliger mit. Hierauf übernahm er die Leitung der von der «Afrikanischen Gesellschaft» ausgerüsteten Expedition nach der Loangoküste, von der er eine reiche wissenschaftliche Ausbeute mit heimbrachte. 1876 unternahm er eine neue wissenschaftliche Reise durch die östlichen ägyptischen Wüstengebiete. 1882 reiste er dann nach Südamerika, um im Gebiet des Vulkans Maipo und am Aconcagua grössere Forschungen zu unternehmen. (Güssfeldt bestieg u. a. ganz allein den Vulkan Maipo bis zum äussersten Kraterrand). Anschliessend besuchte er 1883 das bolivianische Hochland und kehrte dann nach Deutschland zurück. In den folgenden Jahren unternahm er verschiedenste Besteigungen und Gletscherstürme in den Alpen. Er begleitete Kaiser Wilhelm II. auf seinen Nordlandreisen. 1892 wurde er zum Professor ernannt und wirkte als solcher an der Universität Berlin. Er starb im Jahre 1920.

W.

Der erste Besteigungsversuch am Aconcagua.

(Aus: Reise in den Andes von Chile und Argentinien).

20. — 21. Februar 1883.

Paul Güssfeldt.

Die Rekognoszierung hatte am 19. Februar 1883 stattgefunden; am Nachmittag des 20. sollte die entscheidende Expedition beginnen. Vorrat war nicht mehr viel, denn auf das Mitnehmen von vielerlei Nahrungs- und Schutzmitteln mussten wir verzichten. Eine Hand voll Teeblätter, einige harte Schiffszwieback, rohe Zwiebeln und etwas Charqui, — das war eigentlich Alles und unterschied sich nur durch die verringerte Quantität von der täglich sich wiederholenden Ration.....

Vor dem Aufbruch machte ich noch einige Zeitbestimmungen. Da die Uhren täglich zu derselben Zeit aufgezogen werden mussten, so durften sie nicht im Biwak zurückgelassen werden; es war sehr wahrscheinlich, dass sie während der Aconcagua-Besteigung ihren Gang änderten. Diese Aenderung unberücksichtigt gelassen, hätte die verschiedenen Längenbestimmungen erheblich Blechen können.

Das Satteln und Packen der Tiere geschah unter bedrohlichem Wettermachen; denn gerade so wie Tags zuvor verfinsterte sich die Atmosphäre, kaum nachdem die Sonne den Meridian passiert hatte. Zwischen zwei und drei Uhr war der Himmel stark bewölkt, und es fielen Schneeflocken. Den Leuten gegenüber, welche schon Bedenken äusserten, tat ich, als merkte ich nichts von alledem. Innerlich war ich recht besorgt. Doch es blieb ein gutes Omen, wenigstens für den, der so emsig darnach suchte, wie ich: während der Himmel nach allen Richtungen hin bedeckt war, hob er sich hinter dem Aconcagua mit seinem schönen, reinen Blau ab; dieser Berg allein blieb frei: die Luft um ihn herum war klar.

Wir ritten um 4 Uhr Nachmittags aus dem Standbiwak aus, denselben Weg wie Tags zuvor, wieder an dem Skelett des armen Minero vorbei, und erreichten gegen 7 Uhr abends die erste Etappe, die Mündung des Schuttcouloirs. Inmitten der Figuren des Bäumerschnees machten wir Halt und entfachten mit Mühe eine Glut aus dem mitgenommenen Kohlenvorrat. Es wurde noch einmal abgekocht; doch begnügte ich mich mit einem Becher Tee und einem der harten Brote, die angefeuchtet und dann ans Feuer gelegt werden, ehe man sich an ihren Genuss wagt.

Während die Nacht hereinbrach, klärte sich das Wetter vollständig auf. Die besten Aussichten eröffneten sich. Ich fühlte mich am Anfang einer bedeutenden Tat; eine erhabene Stimmung bemächtigte sich meiner. Der volle Mond trat hinter den Bergen hervor und goss sein Licht über die erglänzenden Felder des Nieve penitente, welche zerstreut auf den Hängen lagen. Im Westen zeichneten sich die ausgezackten Felskämme haarscharf gegen den Himmel ab, wie die Aquädukte bisweilen in der römischen Campagna bei dem Scheiden des Tages. Die Luft war ganz ruhig; alles war durchweht von Erhabenheit; die ganze Macht dieser Stunde kam über mich; ich blickte zu den Sternen auf, und meine Seele erhob sich zu Gott.

Um ½ 9 Uhr abends brachen wir auf, die Tiere zurücklassend; Jilberto, Vicente und ich. In das steile Couloir, das wir zuerst erkletterten, warf der Mond grelle Kontraste von Licht und Schatten. Gegen ½ 11 Uhr betraten wir den Portezuelo del Penitente und verweilten zwanzig Minuten auf seiner Höhe. Wie die «Conquistadores» standen wir da in der schweigenden Nacht, mit dem Blick die silberdurchflossene Finsternis durchdringend; zackigen und mysteriös ragte der Aconcagua auf; glänzend und weiss breitete der grosse Firn sich aus. Und diese Landschaft wollte ein Mensch sich besiegen? ihr eine höhere Weihe dadurch geben, dass er seinen Willens, wie eines göttlichen Geschenkes, zielbewusst walte? In jener Mondnacht schien es doch,

als wendete jeder Punkt des leblosen Bildes einen feindlichen Strahl der Verzauberung gegen den prüfend vordringenden Menschen. O! es war besser, alle Gedanken abzustreifen und nüchtern und harmlos fürbaß zu gehen, wie mein fouriant Vicente Pereira.

Das geschah denn auch. Wir stiegen nieder, überschritten den Eisspiegel der Lagunen, überkletterten den Schneewall und wandelten bald über jungfräulichen Firn, auf welchen der Mond zum ersten Male den Schatten menschlicher Figuren warf. Die kürzeste Linie beim Kreuzen einzuhalten, war nicht tunlich, weil in der Richtung derselben abschüssige Stellen lagen. Vielmehr beschrieben wir eine nach rechts, gegen den Ursprung des andinen Hochtals ausgebogene Kurve. Der Firn bewährte in seiner ganzen Breite die Beschaffenheit, welche bei der Rekognoszierung für das Randgebiet erkannt worden war. Wie Brettchen einer auf dem Boden gelegten Jalousie zeigten die kleinen Eisleisten auf, welche das Gehen so beschwerlich machten. Dafür hatten wir andererseits nicht von Schnee zu leiden; — ein Umstand, der nicht nur Mühe, sondern auch Sorge ersparte; denn wir brauchten weder in tiefem, pulvrigen Schnee zu waten, noch hatten wir das Einbrechen in überdeckte Spalten zu fürchten.

Ein Seil verband uns nicht; ein jeder marschierte nach seinem Belieben; und wer fiel — der fiel. Bald nach Mitternacht standen wir gleich weit entfernt von beiden Ufern, deren kürzeste Entfernung etwa 3½ Kilometer betragen mochte. Inmitten der blinkenden eisigen Fläche zu unserer Linken eröffnete sich das Tal, dessen Ursprung wir traversierten, und verschwand gegen eine tiefere, uns unsichtbare Stufe. Sehr nahe rechter Hand stieg das Terrain steil an an der vergletscherten Kette, welche den Circus schliesst und in den Aconcagua wurzelt.

Die angewachsene Helligkeit der Mondnacht erhöhte den Eindruck des Magischen. Mir hatte der Mond noch nie so hell geleuchtet und gewiss nur wenigen Sterblichen heller; ganz begreiflich! Dass Schneelandschaften intensiver erglänzen, das hat ja ein jeder selbst erfahren; aber nicht in subtropischen Breiten und nicht in einer Meereshöhe von 5000 bis 6000 m, wo dem unserirdischen Lichte die Intensität in gesteigerterm Masse bewahrt bleibt.*

Freilich da, wo kein Schnee lag, oder wo die Landschaft sich in ihre Schatten tauchte, da schuf der Kontrast für das geblendete Auge den Eindruck erhöhter Dunkelheit; so auch am Aconcagua selbst, dessen Masse näher und näher rückte, stärker und stärker anschwellend, mehr und mehr an Uebersichtlichkeit verlierend. Um 1 Uhr 50 Minuten in der Nacht vom 20. zum 21. Februar betraten wir seine Basis zum ersten Male. Der Uebergang vom Firn zu der Halde des Berges vollzog sich ohne besondere Schwierigkeiten. Das verdient aus dem Grunde besonders hervorgehoben zu werden, weil Firn gerade da, wo er eine aufragende Kette umdämmt, aufzureissen pflegt und jenen übergschrundähnlichen, welcher wie ein Festungsgraben das Massiv umgibt. Uns dagegen war keine andere Aufgabe gestellt als einen steilen, schneebedeckten Uferrand zu erklettern; dann setzten wir den Fuss auf anstehendes Gestein.

Nun erst begann die Aconcagua-Besteigung im engeren Sinne des Wortes: das Erklimmen des Individuums, das sich aus dem grossen Gebirgsfundament zu einsamer Höhe emporringt.

Von allen Besteigungen, welche ich bis dahin gemacht hatte und auch später noch machen sollte, ist sie die eintönigste, was im Hinblick auf die beschriebene Gestaltung der nordwestlichen Abhänge begreiflich erscheinen wird. Die weiten Halden ziehen sich monoton, scheinbar endlos, auf, etwa im Winkel von 30° bis 40°; sie sind mit verstreuten Flecken Schnees belegt. Nur die Verschiedenfarbigkeit des Gesteins und steile Felsmassen, welche den Hang terrassenartig gliedern, bringen Abwechslung, wenigstens für das Auge. Das Gestein ist vielfach verwittert, sicherlich auch durch intensiv-chemische Vorgänge zersetzt, im frischen Zustande kaum anzutreffen. So gross erschien mir die Mannigfaltigkeit, dass ich in mein Notizbuch schrieb: »Dieser Aconcagua ist gar kein Berg, sondern ein geognostisches Museum«. Auf Steinschlägen und Steinsammeln konnte

ich noch zunächst leider nicht einlassen. Jedes Mehrgewicht, jede Anstrengung, die dem Ziel nicht näher brachte, konnte zum Verräter an dem Erfolge werden, und dieser wurde so schon durch das törichte, unbedachte Verhalten meiner Leute untergraben.

Man bedenke, dass nahezu zehn Stunden verflossen waren, seitdem wir das Standbiwak verlassen hatten, und dass wir nun bei dem Betreten der Dachfläche des Aconcagua noch 1.900 m. unter unserm Gipfel standen; 1.900 Meter! die nicht bloss gezählt, sondern auch gewogen sein wollten, und die um so schwerer wogen, je leichter die Atmosphäre wurde.

Das Terrain gestattete, bis in die Nähe des Gipfels, den kürzesten Weg einzuschlagen, nämlich über einen wenig entwickelten Grat, der die grosse NW-Fläche in zwei Teile gliederte, und der in der Richtung S 25° E aufstieg. Eben dieser Grat entwickelt sich an der Basis an der mehrfach erwähnten Schneekette, welche den nun überschrittenen Firn einkreist. Er nimmt, soweit er zum Bau des Aconcagua selbst gehört, meist die Form einer so breiten Rippe an, dass es nicht immer leicht ist, die vorgesetzte Richtung inne zu halten. Denn die Spitze selbst wird, je höher man steigt, um so häufiger und länger durch die Felsterrassen verdeckt.

Immerhin ist der Weg in seinem grossen Zuge durch den NNW-Grat vorgezeichnet, und der Aufmerksamkeit und Findigkeit der Besteiger bleibt es überlassen, ihn inne zu halten. Im Uebrigen sollten diese es sich zur Regel machen, sehr langsam, aber auch sehr stetig, Schritt für Schritt, fortzuwandern, ohne zu häufig aufzublicken, ohne ein Wort mit den Gefährten zu sprechen, mit der Raffiniertheit des Geizhalses die Ausgabe ihrer Kräfte überwachend; denn grösser und grösser wird die Ausgabe, und es ist, als verflüchtigten sich die Kräfte in die dünner und dünner werdende Luft, wie kaltes Wasser unter dem Einwirken der Luftpumpe.

Aber meine Leute gaben dem Marsch einen anderen Charakter und setzten mir mehr zu, als wenn ich meine Taschen mit Steinen gefüllt hätte.

Bis zu dem Augenblick, wo wir die Aconcagua-Basis erreichten, hatte ich allen Grund gehabt, mit den beiden Chilenen zufrieden zu sein. Das Schutzcouloir hatten sie mit einem Eifer erklettert, der ihren guten Willen und ihren guten Glauben ausser Zweifel setzte; den grossen Firn hatten sie mit einer Unbefangenheit überschritten, über welche ich helle Freude empfand. Dort war es noch windstill, und deshalb machte sich die Kälte nicht schmerzlich fühlbar; auch wurden die Lungen wenig angestrengt. Sobald aber der Firn verlassen war, da wurde die Sache anders. Auf dem Aconcagua wehten strengere Lüfte, die erkältend durch alle Kleider drangen, und die Steilheit, gerade der Basispartieen, bedingte anstrengendes Klettern. Der Wind wurde stärker, die Temperatur sank und mit ihr der Mut der Leute. Bereits zwischen 5 und 6 Uhr Morgens — es war noch Nacht — wollten sie umkehren und behaupteten, dass wir alle Drei erfrieren würden. Ich las 10° C Kälte ab; möglicherweise war es noch etwas kälter; denn ich schwang das Thermometer nur kurze Zeit, weil die erstarrten, glatt gewordenen Hände die Schnur, an welcher das Instrument geschwungen wird, nur sehr unsicher hielten.

Jilberto und Vicente legten sich auf den Boden nieder, inmitten einer Formation pittoresker Felsen aus grauem Sandstein-Conglomerat. Dadurch erhielt die Kälte natürlich noch mehr Macht über sie und auch jene furchtsame Unruhe, welche entsteht, wenn wir uns in einer schlimmen Situation körperlicher Ruhe hingeben. Es bedurfte langer Ueberredungskünste, damit die Leute sich zum Weitermarsch entschlossen; aber die Wirkung war von kurzer Dauer, und das Spiel wiederholte sich. Auf mich wirkte es geradezu wie Gift; denn eine jede dieser spanischen Reden kostete neben der geistigen Anstrengung doch noch ein Stück physischer Kraft in einer Höhe, wo die Lungentätigkeit bereits sehr akut ist; und das wachsende Misstrauen, die Einsicht, dass ich auf keinen Menschen Hülfe mehr bauen dürfe, lagen auf mir wie eine körperliche Last. Das war der Stand der Dinge, als wir 400 m. vor den 1.900 m. erstiegen hatten!

Ich zog die Uhren auf, und wir kletterten weiter mit verhängnisvoller Unregelmässigkeit. Die Kälte setzte uns in der Tat hart zu; besonders peinlich berührte mich die Furcht, dass mir die Nase erfrieren könnte. Zeitweise suchte ich mich durch Vorhalten der Hand zu schützen, die durch einen wollenen Fausthandschuh und darüber gezogenen Socken bewehrt war; aber schliesslich gibt man das auf, weil der Arm zu sehr ermüdet wird, und überlässt dem lieben Gott die Fürsorge für das arme, verlassene Menschenkind.

Endlich kam die Sonne und brachte den ersehnten Tag. Der Wind liess nach. Uebrigens war er, auch während seines heftigsten Wehens, zu keiner Stunde so heftig gewesen, wie seiner Zeit auf dem Maipo.

Der Blick auf die Landschaft gab das Gefühl, dass wir bereits sehr hoch standen; er schweifte über die Pentenketten fort, nach abwärts. Der NNW-Grat glich mehr und mehr einer abgestumpften Kante, längs welcher die Dachfläche des Aconcagua sich umbiegt und eine etwas andere Orientierung annimmt. Unsere Besteigung hatte deshalb weniger den Charakter einer Grat- als einer Hakenwanderung.

Zwischen acht und neun Uhr vormittags wurde die Kleine Teemaschine in Tätigkeit gesetzt, d. h. etwas Schnee geschmolzen, Teeblätter darauf geworfen, einige Stückchen verdünnten Brotes hinzugefügt und das Ganze dann verschlungen; die Leute machten es ebenso. Dies war meine einzige Nahrung während 24 Stunden, ohne dass ich irgendwie von Hunger gelitten hätte. Merkwürdiger noch war in dieser überaus trockenen Luft das Fernbleiben des Durstes. Dabei waren die Schleimhäute so trocken, dass ein Schluck Cognac, den ich versuchte, mir Schmerz in der Kehle verursachte; auch der vino cocido (»gekochter Wein«), den die beiden Chilenen mit sich führten, widerstand mir, obwohl ich gar kein Gefühl von Uebelkeit hatte.

Um 10 Uhr blieb Vicente Pereira endgültig liegen; er hatte bereits mehrfach über Schmerzen in den Füssen geklagt; das war aber nicht weiter von uns beachtet worden. Jetzt erklärte er mit ruhiger Energie, dass er nicht weiter gehen würde. In der Tat waren ihm beide Füsse erfroren; er blieb an jenem Tage, wie für den Rest der Reise, unbrauchbar.

Das geschah in der Höhe von ungefähr 6.200 m. Jilberto und ich setzten uns allein den Marsch fort. In dem Charakter der Besteigung änderte sich nichts, — stets dasselbe grossartige Monotonie; es war mir, als bestände die Welt aus einer einzigen grossen Halde. Der rückwärts und nach rechts schauende Blick beherrschte ein weites Gebirgsmeer, aus dem sich nur zwei hohe Berge in nördlicher Richtung abhoben; sie gehörten offenbar der Ramadakette an. Die Landschaft zeigte wenig Schnee; Gletscher konnten gar nicht konstatiert werden. Die Spitze des Aconcagua war nicht länger sichtbar. Wir stiegen meist über Trümmer auf, selten über anstehendes Gestein; bei mässigem Winde und erträglicher Kälte, unter geringen Terrainschwierigkeiten, mit wachsender Pein. So glichen wir mehr wankelnden Dukkers, als himmelerstürmenden Titanen.

Die Langsamkeit unseres Vordringens liess nun nichts mehr zu wünschen übrig; die Pausen mehrten sich, und wir ruhten wohl ebenso lange, wie wir marschierten. Der Atem war kurz geworden, und selbst beim Niedersitzen musste ich röcheln; tat ich es nicht, liess ich die Lunge ruhiger arbeiten, so trat ein asthmatischer Zustand ein. Am liebsten streckte ich mich lang aus und hielt den Mund dicht über Schnee; hier hatte die Luft mehr Feuchtigkeit (höchstwahrscheinlich wirkt die dünne, trockne Höhenluft verderblicher auf den Organismus ein, als die feuchte. Momentane Erleichterung schaffte die Benutzung eines kleinen Flacons mit englischem Riechsalz. Ein Freund, mit dem ich sechs Monate zuvor gleichzeitig auf dem Matterhorn gewesen war und der Reisen im Himalaya ausgeführt, Dott. Giulio Grazioli, hatte ihn mir beim Scheiden in London in die Hand gedrückt.

Um 11 Uhr vormittags schrieb ich in mein Notizbuch: »Wir wissen nicht, wie wir enden werden«, und Jilberto sagte: »Mis piernas me duelen mucho«, d. h. meine Beine schmerzen mich sehr. Ich hätte ihm dasselbe von mir sagen können, denn eben in Gliederschmerzen und läh-

nender Mattigkeit besteht die Einwirkung der verdünnten Luft; vielleicht gehen dem Kreuzigungstod ähnliche Zustände voraus. Um ½12 Uhr wurde die Spitze des Aconcagua wieder sichtbar, und nun sah ich den Weg, der zu ihr führt, zum ersten Male deutlich vor mir. Jilibertó wollte umkehren. Noch einmal nahm ich alle Kraft und alle Ueberredungskünste zusammen, malte ihm aus, welcher Triumph es für ihn sein würde, wenn er mit mir einen Gipfel erreichen würde, der höher sei als alle Gipfel Amerikas, und an dessen Erreichbarkeit niemand glaube, wie er bei der Rückkehr in seine Hacienda würde geehrt werden; wie sein Name im Lande fortleben würde und fügte noch vieles andere hinzu. Jilibertó war nicht ohne Ehrgeiz; er hatte einen schönen Moment, war mit seinem höheren Zoden gewachsen; eine echt männliche Entschlossenheit kam über ihn. Mochte eintreten, was da sollte, verlassen würde er mich nicht, und hier, in mehr als 6.400 m. Höhe, reichten wir uns die Hand zum Bunde.

Von nun ab sprachen wir nicht mehr miteinander; in schweigender Uebereinkunft marschirten wir, ruhten wir, brachen wir wieder auf. So wurde um ½1 Uhr des beginnenden Nachmittags die Höhe von 6.500 m. erreicht, wo das Wasser des in Tätigkeit gesetzten Siedeapparats bei 78,4° C. kochte. Hier am Fusse eines weissen Felsens, der die graubraunen Trümmerflächen durchbrach, sollte eine längere Erholungspause gemacht werden.

Hinter dem Felsdurchbruch ragten die Gipfelpartieen des Aconcagua auf; die Spitze erschien so nahe, dass sich die einzelnen Steine derselben unterscheiden liessen; die höchsten Felsen waren sämtlich durch rote, warme Farbentöne ausgezeichnet. Die übrige Welt lag uns zu Füssen; in der Richtung abwärts, rechts von dem grossen Firngal, das wir in der Nacht, vor nunmehr zwölf Stunden traversiert hatten, liess sich ein zweites Tal constatieren, das seinen Ursprung in dem Aconcagua-Massiv nimmt.

Der in das Auge gefasste Weg sollte den Gipfel ziemlich direkt treffen; über ein Schneefeld, an dessen Rand wir lagerten, musste der Fuss der roten Felszinne erreicht werden; durch einen Felskamin hofften wir diese zu ersteigen und dann, rechts schwenkend, über den ausschwierigen Grat die höchste Spitze zu erreichen. Nach meiner Schätzung lag dieser höchstens 250 bis 300 m. über uns, nach derjenigen Jilibertes sogar nur 150 m, nach den Messungen 410 m. Es war durchaus fraglich, ob wir das Ziel vor Sonnenuntergang würden erreichen können.

Noch während ich mit der hypsothermometrischen Messung beschäftigt war, zwischen 1 und 2 Uhr Nachmittags, hüllte sich die Spitze unseres Berges in graue Wolken ein; Nebel erfüllten die Luft; Graupeln fielen nieder, und die Gefahr eines Schneesturmes zog drohend vor uns auf.

Wir hatten gerade die Frage erwogen, ob wir nicht besser thäten, der Nacht an dieser Stelle zu trotzen, obwohl uns Decken und Brennmaterial fehlten, und den Rest der Besteigung auf den folgenden Tag zu verlegen; denn wir waren Beide stark mitgenommen. Schon mehr als siebzehn Stunden hatte die Wanderung gewährt, und seit dem frühen Morgen des vergangenen Tages, seit dreissig Stunden, war ich in ununterbrochener Tätigkeit, dazu so kümmerlich ernährt! Zum Ruhme Jilibertes muss ich es sagen, dass er den entschlossenen Mut gefunden hatte, auszuharren und mit mir eine Nacht zu erwarten, die sehr leicht für uns Beide eine ewige werden konnte.

Da kam die tormenta, der Schneesturm, und setzte aller Diskussion ein Ende. Denn dieses Unwetter in der Höhe liess nur die Wahl zwischen sicherem Untergang durch Verbleiben oder möglicher Rettung durch Umkehr. Lag nicht unten im Penitentetal bereits ein Skelett? Sollten 2.500 m. darüber zwei neue Skelette die Stelle markieren, an welcher der Kampf zwischen dem Menschen und der unbelebten Natur zu Gunsten dieser entschieden wurde? An der Gipfelwand des Aconcagua hatte die Hand des Sturmes unser Mene tekel hingezeichnet, das Reich unserer Hoffnung sollte nicht länger bestehen; wir waren zu leicht befunden worden!

Von der Notwendigkeit gebeugt, beschlossen wir die Umkehr und flohen

ver einer Gefahr, die der Verzug rüstete. Noch war der Nebel nicht so dicht, dass wir nicht hätten die nähere Umgebung erkennen können. Wenn er sich verdichtete, so war an ein Auffinden des rechten Weges nicht zu denken; wir wären gerade so in dieser Wildnis umgekommen, wie Alpenführer bei Schnee und Nebel in ihren eigenen Bergen umgekommen sind, die sie doch so gut kennen.

Mit erstaunlicher Geschwindigkeit wurde der Weg zur Tiefe zurückgelegt, was beweist, dass unsere Kräfte nicht erschöpft, sondern nur durch die dünne Luft gebannt waren. Freilich begünstigte uns die Beschaffenheit des Terrains und liess besondere Vorsichtsmassregeln für das Gehen überflüssig erscheinen. Auf einem solchen Halbdenterrain kann man im allgemeinen für den Abstieg den fünften bis sechsten Teil der Aufstiegszeit rechnen; wenigstens in diesen Höhenzonen von 6.500—5.000 m.

Die harte Arbeit begann erst mit der Ueberschreitung der grossen Aconcagua-Firns; die sturzackerähnliche Beschaffenheit der Oberfläche bereitete uns wahrlich sehr bittere Stunden. Was etwa «Karrenfelder» für die Oberfläche dolomitischen Kalkes sind, das war dieses Firnfeld im Vergleich zu anderen Firnfeldern. Das stete Einbrechen des Fusses, das mühevolle Hervorarbeiten desselben verursachte deshalb so viel Pein, weil die Kurzatmigkeit auch nach dem Verlassen der hohen Region anhielt. Diese Tatsache verdient erwähnt zu werden; selbst im Biwak atmete ich — trotz eines normalen Respirationssystems — kürzer, als es vor der Besteigung der Fall war.

Zum Glück lichtete sich der Nebel, weil nur der Aconcagua selbst der Schauplatz des Nebels geblieben war; ihn sahen wir an jenem Tage nicht mehr. Wichtiger war es, dass das Büsserfirn sichtbar wurde; wir konnten also die Richtung zu dem einzig möglichen Ausgang finden. Um 7 Uhr abends standen wir wieder auf dem Portezuelo del Penitente, also zwanzig Stunden nach dem Verlassen desselben. Kurz zuvor hatten wir uns mit dem armen Vicente Pereira vereinigt und stiegen nun gemeinsam durch das Schuttcouloir hernieder. Am Ausgang trafen wir die Tiere, welche 24 Stunden lang im nieve penitente dagestanden hatten, ohne zu fressen noch zu saufen. Es war schon dunkel, als wir eintrafen; einige Becher Tee, mit dem Kohlenfeuer bereitet, belebten die Kräfte nach so langer Enthaltsamkeit.

Nach einstündiger Rast wurden die Tiere bestiegen, und nun ritten wir in die Nacht hinaus zum Biwak, durch Wasser, über Hänge und Steilabfälle, immer vorwärts, immer tiefer. Die Tiere, obwohl ihnen so schlecht mitgespielt worden war, gingen wie elektrisiert. Einem jedem schwebte gewiss das magere Weidefutter vor, und uns, den Aconcagua-Versprengten, winkte das 3.600 m hoch gelegene Standbiwak wie eine Stätte der Erlösung. Halb wachend, halb schlafend sass ich im Sattel, aber doch instinktiv aufmerksam auf meinen Vordermann, der periodisch dem Auge entschwand, sobald die Entfernung sich nur wenig vergrösserte. Dann trieb ich den Braunen; der den Maultieren nicht gewachsen war, dadurch an, dass ich ihm die Flanken mit der Spitzhacke des Gletscherbeiles verarbeitete. So erreichten wir nachts um 11 Uhr das Standbiwak nach 21stündiger Abwesenheit.

Die lodernde Flamme des Biwakfeuers und ein Teller mit heisser Suppe erschienen mir ein ausreichender Lohn für die gescheiterte Expedition. Ich habe mein Ziel nicht erreicht!

Das schmale Fellbett, auf das ich hinsank, war doch nicht schmal genug, um dieser Wahrheit nicht noch Platz zu gönnen. Trotzdem überkam mich heitere Ruhe! So mächtig kann Ueberzeugung in uns wirken. Ich glaubte, meine Pflicht ganz getan zu haben, und an diesem Panzer prallten die bitteren Pfeile der Enttäuschung ab. Mit einem letzten Blick zu den Sternen entschlief ich sanft und fest um Mitternacht.

Zweiter Besteigungsversuch.

(Aus: Reise in den Andes von Chile und Argentinien).

4.—5. März 1883.

Paul Güssfeldt.

Am Nachmittag des 2. März erreichten wiederum das Corralito-Biwak und traten damit ein in die Region des Valle jeinemo und in die Machtsphäre des Aconcagua. Wiederum, wie an dem unvergesslichen Tage des ersten Anblicks, betrachtete ich den Berg, nun aber unterstützt durch die Erfahrungen des ersten Besteigungsversuches, jeden Schritt des Weges zur Spitze glaubte ich angeben zu können und schaute hinauf, bis das Licht der untergehenden Sonne auf ihr verblasste; — es war um 6 Uhr 35 Minuten.

Die Nacht war müde; ich verbrachte sie wachend, die Zähneschmerzen von einer zugegangenen Zahnfistel waren doch noch stärker als die Dosis Opium. Der Mond stand im letzten Viertel und zeigte, wie auch in früheren Nächten, einen grossen Ring; einen solchen zeigte die Sonne ebenfalls am Vormittag des 3. März. Die Ringfläche erschien grau, der Himmel ausserhalb des Ringes blaublau, stellenweis leicht überzogen mit weissen, streifigen Schleiern. Das Phänomen wurde vom Sattel aus beobachtet, auf dem Ritt zum alten Standbiwak, das wir im Laufe des Nachmittags erreichten. Auch von hier aus konnten um 5 Uhr Abends einige optische Erscheinungen beobachtet werden, die immer auf besondere Zustände in der Atmosphäre hinweisen. Es handelte sich um weisse Wolken mit lebhaft farbigen Säumen. So entstand an einer Stelle ein Farbenbogen, der für das Stück eines Regenbogens hätte genommen werden können, wenn der Stand der Sonne mit einer solchen Auffassung in Einklang zu bringen gewesen wäre. In den farbigen Säumen trat das Grün besonders hervor, und eine grosse Wolke mit weissem Kern änderte ihre Gestalt allmählich so, dass eine Art vierblättrigen Kleeblatts entstand mit grüner Fläche und rotem Saum.

Es macht immer einen angenehmen Eindruck, an einem so öden, im Herzen des wilden Gebirgs gelegenen Punkt, wie unser Standbiwak es war, bei der Ankunft begrüsst zu werden, und wäre es auch nur von den wenigen leblosen Gegenständen, die man selbst dort zurückgelassen, in der Hoffnung auf die Rückkehr; zudem erhöhte die Ankunft von einem Maraebe, welches Schlaflosigkeit, Schmerz und die Reaktion des Opiums zur Qual hatten werden lassen. Während des Rittes fiel der Reiz der Neuheit oder der Gefahr ja auch fort; der knappe Rest der noch vorhandenen Zigarren legte Enthaltsamkeit auf, und so hatte ich denn in beklagenswerter Erschöpftheit auf meinem lahmen Pferde dagesessen, das ich täglich mehr verachtete und doch gebrauchte.

Zu den kleinen Freuden im Standbiwak gehörte das Auffinden des Bindfaden-umwickelten Steines, der den Observationspunkt bezeichnete; denn an dieser Stelle mussten die unterbrochenen Beobachtungen fortgesetzt werden. Vorläufig war das nicht möglich; der Aufbruch in der zweiten Aconcagua-Expedition nahm mich ganz in Anspruch.

Die Witterung hatte einen milderen, nicht aber einen beständigeren Charakter, als zur Zeit des ersten Aufenthalts, obwohl wir doch dem Herbst näher standen. Die grossen Nachtschmetterlinge, welche im Valle hermoso in grossen Schwärmen gegen das Biwakfeuer flogen und ihren Tod fanden, stellten sich nun auch hier ein, zwar minder zahlreich, und erdreisten dir Dasein in 3.600 m. Höhe.

Schon im Valle hermoso war zwischen den Leuten und mir Verabredung wegen der neuen Aconcagua-Expedition getroffen worden. Das Unternehmen musste schon deshalb eine andere Anordnung erfahren, weil ihm das Mondeslicht nicht länger leuchtete, eine Nachtwanderung also ausgeschlossen war. Der einfache Plan war der, am 4. März möglichst frühzeitig aufzubrechen, die Nacht zum 5. März auf

dem Aconcagua selbst zu verbringen und dann an diesem Tage die Besteigung zu vollenden.

Frühes Aufbrechen begegnete nun immer denselben Schwierigkeiten bei meinem Begleitern — nebenbei bemerkt eine Klage, die oft von Reisenden erhoben wird. Das Ideal meiner Leute war, das Feuer zu unterhalten, etwas Essbares darauf zu kochen, und dann, unter gelegentlichem Anzünden von Zigaretten, eine Unterhaltung zu machen, in welcher die Worte «Mina» und «Caballo» am häufigsten vorkamen; darüber vergassen sie gern alles Andere, und am liebsten den Aconcagua.

Im Ganzen verfügte ich noch über drei Begleiter: Jilberto, Felipe und Vicente, einen Alten Mann. Die übrigen waren schon vor acht Tagen mit Don Rafael Salazar nach Chile zurückgekehrt. Die beiden erst Genannten sollten den Marsch mit mir machen, Vicente dagegen die Tiere überwachen und in das Standlaiwak zurückbringen. Wir packten mit sorgfältiger Auswahl zusammen, was mitgenommen werden sollte. Zu schwere Last auf der einen Seite war zu meiden, zu grosse Kälte auf der anderen zu fürchten. Jilberto und Felipe erhielten ein jeder ein Flanellhemd und wollene Socken, letzteres noch ein Paar Bergschuh. Ich kleidete mich in der bereits erprobten Weise an, die einzelnen Stücke verdoppelnd, selbst verdreifachend. Folgende Stücke wurden angelegt: Zwei wollene Hemden, darüber, ein Flanellhemd; zwei Paar Unterbeinkleider, zwei Paar lange wollene Kniestrümpfe, ein Paar lange Beinkleider, eingeschnürt in hohe Turngamaschen, eine gestrickte wollene Jacke, eine hochschliessende Weste, ein kurzes Jacket — alles aus sehr starkem Stoff, zwei Paar Pulswärmer, Tücher für Hals und Ohren, Fausthandschuh und wollene Socken zum Schutz der Hände. Wenn dieses kleine Magazin sorgfältig am Körper befestigt ist, so stellt sich ganz von selbst ein Gleichgewicht her, das die Last viel weniger fühlbar macht, als man glauben sollte, und der Beweglichkeit wenig Abbruch tut.

Vor dem Abreiten stärkten wir uns durch eine Hammelsuppe, an die ich, trotz allen Hungers, zagend herangingen, denn jeder Bissen konnte der Anlass zu heftigsten Schmerzen werden; sie verliessen mich kaum noch und hatten den Schlaf der vergangenen Nacht begreiflicherweise oft unterbrochen. Jede Aussicht auf Besserung war ausgeschlossen, nur die Hand des Operateurs konnte hier helfend eingreifen; aber weit, weit entfernt war jede Hülfe. Ich wickelte das Haupt in Schafwolle ein, die ich aus den Sattelkecken riss, verstopfte die Ohren mit Wolle, damit Wind und Kälte möglichst wenig Macht erhielten. Es ist immer schon oft schwer genug, in ein Projekt everbissen zu bleiben, — mit einer Zahnfistel als Zugabe, ist es das stets. Das Festhalten an einem wohl erwogenen Vorsatz ist wie das Festhalten am Glauben und erfordert die Innigkeit religiöser Empfindung.

Um 10 Uhr vormittags ritten wir ab. Vom westlichen Horizont strahlten fulkige Wolken aus und erfüllten das halbe Firmament. Es überlief mich heiss und kalt während des Rittes, der um 12 Uhr 45 Minuten nachmittags zu dem Fuss des Schutteouloirs endete. Wir hielten uns nicht lange auf, verteilten die Lasten und kletterten um 1 Uhr 23 Minuten zum Büssertor auf. Jilberto trug das grösste Gewicht: den Schlafsack, eine wollene und zwei Kautschukdecken. Felipe, scheinbar von gutem Bau und schlank, aber doch nicht genügend widerstandsfähig, trug die photographische Kamera. Den Rest nahm ich: die kleinen Handinstrumente, einen kupfernen Kessel, den silbernen Thermo mit Cognac, etwas Tee, Zucker, Tortilla, d. i. Zwieback, Spiritus.

Wir stiegen bei einer Temperatur von + 4° C auf; das Couloir hatte sich von den Schneefällen erholt und war fast schneefrei. Um 3 Uhr 20 Minuten erreichten wir das Büssertor. Eine am Fuss des Couloirs genommene Notiz sagte aus: «Himmel mehr bewölkt, als mir lieb ist». Auf der Höhe des Portezuelo war es windig und kalt, und, trotz aller Gewöhnung an diese Arbeit, blieb die Möglichkeit des Photographierens ausgeschlossen. Kamera und Stativ wurden hier zurückgelassen. Der Sturm nahm zu, entsprechend unsere Durchkältung, und nachdem ich eine zusammenfassende Darstellung der

Landschaft, die in zwei so auffällig verschiedene Teile zerfällt, niedergeschrieben hatte, zogen wir um 4 Uhr nachmittags weiter, stiegen 20 Meter hinab und überschritten zum dritten Mal die stets gefrorene Lagune.

Nach Ueberwindung des Schneewalls begann die Wanderung über den weiten Firn. Sein Kesselabschluss, gebildet von dem Verbindungsglied zwischen Aconcagua und Penitentekette, trägt einen Pass, dem grosse Firnzerreissungen vorgelagert sind; jenen Pass, von dem ich glaube, dass er durch ein gewundenes Tal an den argentinischen Fuss der »Cumbres« führt. Die grosse Nordwestflanke, welche dieser Seite des Aconcagua-Massivs das Gepräge gibt, würde also das linke Gehänge für den Ursprung jenes Tales sein.

Die Firnwanderung war, namentlich in ihrer ersten Hälfte, noch nicht einmal so übel; die Folgen der grossen Schneefälle machten sich hier, wo die Oberfläche den Fuss oft zwischen Eisleisten fängt, angenehm fühlbar; wenn auch die pulvrige Beschaffenheit des Schnees ein leichtes Gehen nicht zuliess.

Während wir die Durchschnittsrichtung S. 65° E. magn. hielten, fiel die Achse unseres Firntals nach der Richtung N. 40° E. magn., erschien aber in Folge einer Windung nach rechts durch einen sehr deutlich geschichteten Berg abgeschlossen.

Wir marschierten im Windschatten der Penitentekette. Insolation und Rückstrahlung übten eine wohltätige Wirkung aus, — es ging ein Zug der Güte durch die Natur. In wundervoller Klarheit lag der Aconcagua da. Wir gingen auf ihn los; sein Kammgrat streckte sich mehr und mehr in die Länge; seine Hänge wurden weiter und weiter, verloren für das Auge an Steilheit. Die Durchsichtigkeit der Luft machte den Berg zu einer grossartigen optischen Täuschung, gab ihm die Dimensionen eines Gebirges, gegen das die Hand sich verlangend ausstreckte.

Wir verlassen das Firnfeld, d. h. wir betraten den Aconcagua um 6 Uhr 50 Minuten, also nach 2 Stunden 50 Minuten Gehens über Schnee, und ich musste mir sagen, dass ein Tagesmarsch denn doch bei weitem einen Nachtmarsch vorzuziehen sei.

Nun aber dunkelte es schnell. Wir stiegen etwa noch dreiviertel Stunden abwechselnd über anstehenden Fels, Geröll und Schnee. In den ersten grösseren Felsen, die angetroffen wurden, hielten wir an; sie standen da auf dem Hange, wie eine Gruppe nächtlich verschworener Titanen. Ich kannte sie wohl; es waren dieselben Sandsteinkonglomerate, in deren Mitte ich bei dem ersten Ersteigungsversuch Ueberredungskünste an den Leuten geübt hatte. Die Stelle war gut gewählt. Ein 100—150 Zoll hoher überhängender Stein schützte uns gegen die Ausstrahlungskälte; den Boden bedeckte der feine Grus der verwitterten Gesteins und machte das Lager relativ weich. Es herrschte vollkommene Dunkelheit, als wir begannen, uns einzurichten. Die Kälte war schon intensiv geworden, und der Versuch, eine zusammenlegbare Laterne (folding lantern) mit all' ihren Stiften so zusammenzufügen, dass sie wirklich zur Laterne wurde, schlug fehl. Alle diese »praktischen«, komplizierten Reiseutensilien sollten beim Beginn der Reise ins Wasser geworfen werden.

Da wir kein Licht entzünden konnten, so kochten wir auch keinen Tee, liessen alle Nahrungsmittel unberührt, legten den Schlafsack zwischen die Kautschukdecken, uns selbst in den Schlafsack. Das beste Mittel, einer Biwaknacht ohne Biwakfeuer zu trotzen, zumal in 5300 m. Höhe, oberhalb weiter Firnfelder, besteht darin, sich möglichst eng mit seinen Gefährten zu verpacken. Und dazu war mein Schlafsack wie geschaffen; den er sollte in der Not zweien Insassen dienen, wir aber waren drei.

Der Erinnerung an meine verloren gegangene Zivilisation konnte ich mich, nach dem Niederlegen, doch nicht in dem Masse entschlagen, dass ich nur die Annehmlichkeiten der Einrichtung empfunden hätte. Allerdings war die Temperatur des umgebenden Mediums wesentlich höher, als die der freien Atmosphäre. Dafür aber tödte ich mit einer eingewickelten Mumie die Bewegungslosigkeit, — tödter nicht auch den Mangel an Gesprächsstoff, den meine Schlafgenossen durch mancherlei Variationen vor Ab-

stumpfung bewahrten. Am folgenden Morgen hatte ich alle Mühe, die Gefährten aus dem Schlafsack zu treiben. Um 6 Uhr 20 Minuten zeigte das Thermometer 9° C Kälte, eine Stunde später deren 7,4°. Wir schmolzen Schnee und bereiteten das bekannte Gemisch aus Wasser, Zwieback und Theeblättern.

Endlich, um 6 Uhr 40 Minuten des 5. März, wurde der Marsch fortgesetzt, unter Zurücklassung aller Decken. Wir kletterten über die Sandsteinfelsen; grosse grünlich-graue Massen mit etwas neuem Schnee durchsetzt. Um 7 Uhr 10 Minuten fiel der erste Sonnenstrahl auf uns; weder Wind noch Kälte hatten sich bis dahin lästig fühlbar gemacht. Ich führte und gab das langsame Tempo an; auf den Bergen von der Höhe unseres Niveaus lagen dicke Wolkenschichten; auch hinter dem Aconcagua stand eine weisse Wolke. Die Nacht war mir fast schmerzfrei vergangen; um 7 Uhr 25 Minuten Vormittags stellten sich die alten Schmerzen wieder ein.

Statt allen Kommentars mag hier die Abschrift der an Ort und Stelle hingeworfenen Notizen folgen:

7 U. 32 Min. 2 Minuten Pause; 200 Schritte in 10 Minuten.

8 U. — Min. 2 Minuten Pause; gelbliche Erde und weisses Gestein.

8 U. 20 Min. 10 Minuten Pause. Nur Ramada in N 30° W und Montenegro in N 18° W sagen, ragen noch oben aus den Wolken; kein Wind; beide Leute wie matte Fliegen; durch die Kalk-Gyps (?) -Formation, Halden.

8 U. 55 Min. 7 Minuten Pause am roten Felsen; wenn kein Porphyr, so roter Sandstein. Gegen W treten Gebirgsinseln aus dem Wolkenmeer; Blick zur Spitze durch Felskulissen bereits verdeckt. Es wird eine Unterzeichnung eingeschaltet.

9 U. 2 Min. weiter.

9 U. 12 Min. 2 Minuten Pause.

9 U. 27 Min. 28 Minuten Pause. Blick auf Ramada und Montenegro. Beim Liegen wird man etwa nach dem achten Atemzug durch Beklemmung aufgeweckt, und muss dann mindestens zwei Mal sehr tief atmen. Zahnschmerzen; Gegenmittel gegen Pina; zuweilen durchfahrende Schmerzen; ah! diese plötzliche krampfhafte Zucken der Zahnnerven; atme gern über Schnee. In gleicher Höhe mit dem Kraterrande der Ramada (6.100 m.)

9 U. 55 Min. weiter über Halden.

10 U. 15 Min. 4 Min. Pause.

10 U. 27 Min. 5 Min. Pause. Beide Leute und ich leiden; Felipe am meisten. Man sieht durch das Pensiontal hinaus ins Vallehermoso. Nun auf in dem mit Rot unterstetzten, geschichtenartigen Gestein.

11 U. 10 Min. 5 Minuten Pause. Die gelben Felsen auf.

11 U. 30 Min. Sehr wichtiger Punkt: Man sieht die Spitze, die schwarze NW-Halde und die Stelle, welche wir am 21. Februar erreicht hatten; wir sind tiefer; dieselbe ist jetzt durch die Horizontalstreifen zwischen Schnee oben, schwarzem Gestein unten markiert. Es fallen Schneeflocken; die Atmosphäre verfinstert sich; Felipe liegt bewegungslos. Ich rekognoszieren und überzeuge mich von der Betretbarkeit der NW-Fläche; sie ist aber, wo sie an den Grat ansetzt, sehr steil und mit Pulverschnee bekleidet; ich kehre zurück zu den Leuten.

Filiberto kommt noch ein Stück mit, während Felipe liegen bleibt.

11 U. 40 Min. bis

11 U. 55 Min. Das Unwetter ist da. Es soll also nicht sein! Die weissen Felsen, an denen wir umkehren, liegen unter den roten der Spitze, legte einige Steine zurecht; hinein eine ovale Blechschachtel (Dr. Lyon's tooth tablets), mit einer kleinen getrockneten blauen Blume.

12 U. 20 Min. Temperatur —3° C, Umkehr.
Mit enormer Geschwindigkeit ab.

1 U. 5 Min. an der Schlafstelle. Zu viel ertragen! Aber der Tee, den ich hier mit dem Schnee bereite, und die halbe Zigarre, die noch blieb, machen manches wieder gut. Kein Magenungemach; leises Kopfweh, — kann ebenso gut eine Reflexwirkung der Zahnschmerzen sein, als eine Wirkung der Höhenluft.

2 U. 10 Min. Weiter mit allen Sachen; unter Wind, dunkeln Schneewolken und etwas Graupeln.
Bild auf dem Firn, der nun wieder von der Sonne beschienen wird; der Lichtreflex so stark, dass ich ausser der blauen Brille noch das Rosshaargeflecht über die Augen lege.

3 U. 5 Min. Mitten auf dem Firn; Glühhitze; fühle mich wohl. Temp. + 1,5°. Schnee sehr weich; Filiberto leidet, 5 Minuten Pause.

4 U. 5 Min. Auf dem Schneewall der Laguna. 2 Minuten Pause.

4 U. 12 Min. Auf dem Büsseltor, im Schatten.

So viel aus dem Tagebuch. Zur Erläuterung ist wenig hinzuzufügen. Nicht nur das gute Wetter, sondern auch der gute Wille der Leute war erschöpft, und von mir selbst musste ich bekennen, dass das Maas meiner Leiden schliesslich grösser war als das Maas meiner Kräfte. Selbst wenn das unaufhaltsame Schneewetter die Umkehr nicht erzwungen hätte, so wäre, an jenem 5. März 1883 die Spitze des Aconcagua schwerlich von uns erreicht worden. Ich war, wie wir alle, viel empfindlicher gegen die dünne Luft, als das erste Mal; sie spielte für uns diesmal die Rolle einer Folter, und so rasten Anstrengung und akute Schmerzen mir in einer Weise zu, dass ich ernsthaft glaubte, mein Gesicht würde für alle Zeiten verzerrt bleiben. Trotzdem belud ich meine Taschen mit Steinen, die nun der Königlichen Sammlung in Berlin einverleibt sind; allerdings war an ein Schlagen von Handstücken nicht zu denken, so dass die beigebrachten Proben mehr als Kuriosa anzusehen sind, denn als wissenschaftliche Handhaben.

Meine Leute warfen sich wie tot auf den Felsboden des Büsseltors und führten keine Hand mehr für mich. Ich musste allein Kamera und Stativ aus ihrem Schutzgehäuse hervorholen, und dann alles für die Aufnahme herrichten. Sie lieferte zwei tadellose Platten, welche gegen 5 Uhr nachmittags aufgenommen wurden und die höchsten Teile des Aconcagua in aller Schärfe zeigen.

Unmittelbar darnach stiegen wir durch das Couloir zum Penitentetal nieder bis zu der Stelle, wo die Maultiere standen. Auch hier nahm ich noch zwei Ansichten auf, bei untergehender Sonne, und dann ritten wir durch die Nacht, von 6 Uhr 10 Minuten bis 8 Uhr 15 Minuten, zurück zum Standlewak.

Eine Dosis Opium gab mir Schlaf und täuschte mich hinweg über all' und jeden Schmerz.

Die Aconcagua-Expedition war damit beendet.

Dass von einem dritten Ersteigungsversuch Abstand genommen wurde, wird der Leser natürlich finden. Der Herbst war da, die Jahreszeit zu weit vorgerückt, das Wetter zu gründlich verdorben, der neue Schnee zu mächtig, als dass der Erfolg noch irgend welche Chancen gehabt hätte. Der Aconcagua-Expedition blieb also der natürliche Abschluss dauernd versagt.

Ganz fern liegt es mir aus, den Schein zu erwecken, als wären der Gipfel des Berges und der von mir erreichte Punkt durch nichts Anderes unterschieden, als durch ihre Niveaudifferenz von 400 Metern; — 400 Meter, die im gewöhnlichen Gebirgsterrain wenig mehr als eine Stunde Steigerne erfordern! Was hätte nicht ein Aufenthalt, selbst nur weniger Minuten, auf dem Gipfel lehren können! Um wie vieles reicher wäre das Gesamtresultat gewesen!

War aber andererseits die Expedition nutzlos? Stand oder fiel sie mit dem Betreten oder Nicht-Betreten des Berges? Gleich sie dem Spiel, in welchem man den Einsatz entweder ganz verliert oder verdoppelt einzieht? Alle diese Fragen lassen sich durch die eine ersetzen: Was wussten wir vor der Expedition über den Aconcagua, und was wissen wir jetzt!

Es kann doch nicht geleugnet werden, dass der mysteriöse Schleier, der noch bei Beginn meiner Reise den höchsten Andesberg umhüllte, nun weggezogen worden ist; der Zugang ist gefunden, der Weg deutlich verzeichnet, die vorhandenen Schwierigkeiten sind präzisiert, die passendste Jahreszeit — 15. Januar bis 15. Februar — erkannt. Ueber die Art des Vorgehens kann kein Zweifel mehr sein. Die Terrainverhältnisse gestatten es, dass selbst alpinistisch nicht ausgebildete Träger den eigentlichen Aconcagua betreten, ja selbst bis in die nächste Nähe der Spitze vordringen; sie müssen nur kräftig und furchtlos sein; übergrosse Kletterfertigkeit wird nicht verlangt. Man könnte an derselben Stelle, wo ich ohne Feuer, nur durch einen Schlafsack geschützt, mit meiner Zahnfistel biwakierte, ein komfortables Lager mit Decken und niedrigem Zelt errichten, während der Nacht ein Kohlenfeuer unterhalten, kräftige Suppe kochen und sich an einem Grog erfreuen. Wenn man dann Morgens um 8 Uhr mit einem oder zwei Alpenführern vom rechten Schlage aufbrächte und einen heiteren Tag behielte, so müsste man, meiner Ueberzeugung nach, zum Ziele gelangen; denn die Kraftausgabe würde unter diesen günstigen Bedingungen nicht grösser sein, als diejenige, welche die unvollendete Besteigung von mir gefordert hatte. Die schlimmste Mühsäle bleibt das unerschütterliche Vertrauen in die Geführten; sie müssten so gleichwertig und so in einander eingearbeitet sein, dass während der ganzen Besteigung nicht ein einziges Wort gesprochen zu werden brauchte.

In Frage gestellt oder unmöglich gemacht wird der Erfolg vornehmlich durch zwei Umstände; durch einen Schneesturm während der Besteigung und durch starke Schneefälle kurz vor der Besteigung. Im letzteren Falle würde, wegen der pulverigen Beschaffenheit des Schnees, die Mühsal des Kletterns für menschliche Kräfte vielleicht zu gross werden.

Wenn also dem Unternehmen ein glücklicher Stern nicht leuchtet, so bleibt es unausgeführt.

Aconcagua vom Portillo Los Maitenes aus.

Die Höhe des Aconcagua.

Güssfeldt 1887	6970 m
Fitz Gerald 1897	7035 m
Chilenische Grenzkommission 1898	6960 m
Argentinische Grenzkommission 1898	7130 m
Schrader 1904	6953 m

Nach Helbling kommt der Mittelwert aus diesen Zahlen 7010 m der wirklichen Höhe des Berges am nächsten.

Die Aconcagua-Expedition von Fitz Gerald.

Die erste und zweite Besteigung.

14 Jahre nach Güssfeldts Besteigungsversuchen unternahm eine englische Gruppe den Ansturm auf den Aconcagua. Die Expedition wurde geleitet von Fitz Gerald und verfügte über reichliche Geldmittel. Der Expedition gehörten verschiedene Wissenschaftler an: Gosse, Lightbody, Trafford und Vines. Ausserdem waren für das Unternehmen einige erstklassige schweizer Bergführer verpflichtet: Lauti, Lochmatter, Gebrüder Pellinger, Weibel und Zurbriggen.

Am 18./19. Dezember 1896 fand Matthias Zurbriggen auf einem Erkundungsmarsch von Puente del Inca aus einen geeigneten Zugang zum Aconcagua durch das Horcasertal. Weihnachten 1896 sollte die erste Besteigung des Aconcagua vor sich gehen. Am hinteren Horcoasegletscher wurde in einer Höhe von 4.200 m das Standquartier aufgeschlagen und in einer Höhe von 5.700 m ein Hochlager.

Von hier aus begannen nun die immer neuen Angriffe auf den Berg. Doch immer wieder scheiterten die Unternehmungen. Am 27. Dezember erreichte Zurbriggen 6.600 m, am 1./2. Januar 1897 kam Fitz Gerald bis auf 6.900m. Ein neuer Versuch brachte Zurbriggen am 12. Januar bis an den Sattel zwischen den beiden Kuppen des Aconcagua. Der vierte verzweifelte Versuch brachte Zurbriggen endlich den Erfolg; am **14. Januar 1897** betrat er als erster allein die Spitze des Aconcagua. Weitere Versuche von Fitz Gerald scheiterten, ihm war es nicht vergönnt, den Berg ganz zu bezwingen.

Wenige Tage später gelang zwei anderen Mitgliedern der Fitz Gerald — Expedition die zweite Besteigung des Aconcagua: Stuart Vines und dem schweizer Führer Nikolaus Lauti am **13. Februar 1897.** Sie fanden die Bestätigung von Zurbriggens Erstbesteigung auf der Spitze und liessen selbst einen Eispickel und ein Thermometer unter einem Steinraum als Zeugnis für ihre Besteigung zurück.

W.

Zwei Bilder von der Fitz Gerald-Expedition.

(Aus: «The Highest Andes» von Fitz Gerald).

Am Standquartier am Horcones-Gletscher.

Der Gipfel des Aconcagua.

MIĘDZY NAMI WEGANTAMI

Federacja Akademickich Klubów Alpinistycznych – FAKA

Upływa ponad 50 lat od początków działalności Federacji Akademickich Klubów Alpinistycznych, co daje możliwość oceny jej z perspektywy ponad pół wieku, dalekiej od romantycznej młodzieńczej fascynacji górami i wspinaniem. Patrząc wstecz na te lata, widzę, że to, co robiliśmy, miało sens, tworzyło fundament osiągnięć polskiego himalaizmu i trwale zapisało się w jego historii.

Obecnie Polskim Związkiem Alpinizmu od dwu kadencji kieruje prezes wywodzący się ze środowiska studenckiego, aktywny działacz FAKA i zdobywca Korony Himalajów – Piotr Pustelnik. Niewiele inicjatyw z tamtych lat przetrwało tak z sensem do dziś. Wielu wybitnych himalaistów zaczynało swoją górską drogę od klubów studenckich. Obozy organizowane przez te kluby dawały im szansę na zdobywanie doświadczenia w początkach ich działalności. Wspomnę w tym miejscu trzy popularne dziś nazwiska: Jerzego Kukuczki, Krzysztofa Wielickiego (drugiego i piątego na świecie zdobywcy Korony Himalajów) oraz Ryszarda Pawłowskiego, który ponad 18 razy stanął na szczycie ośmiotysięcznika. Tak zwanych wielkich nazwisk można przytoczyć znacznie więcej, ale należy pamiętać, że aby wejść na ośmiotysięcznik trzeba mieć wieloletnie doświadczenie w różnych górach świata. Możliwości zdobycia go dawała działalność FAKA. Między innymi dzięki tej organizacji stworzona została szeroka baza doświadczonych wspinaczy, na szczycie której stoją w historii twórcy sukcesów polskiego himalaizmu, nazywani dzisiaj Lodowymi Wojownikami. Tylko taka szeroka baza dawała szanse na tak liczne sukcesy.

W tym tekście często używam słowa studencki, pisząc o klubach akademickich. Były one bowiem klubami studenckimi nazywanymi jednak – na wyrost – klubami akademickimi, aby wielu ówczesnych studentów, którzy z czasem stawali się kadrą akademicką uczelni, mogło kontynuować w nich działalność. W klubach tych można było działać tylko w ograniczonym i relatywnie krótkim okresie, co wyraźnie widzę z perspektywy mojego wieku.

Początki FAKA sięgają roku 1968. Był on niezwykle znaczący zarówno dla studentów, którzy uczestniczyli w wydarzeniach marcowych tego roku, jak i – przez ich konsekwencje – dla całego środowiska studenckiego. Lekcja tych wydarzeń ukształtowała i pozbawiła złudzeń wielu ludzi.

Realia życia w początkowych latach działalności FAKA dzisiaj wydają się trudne do wyobrażenia, niełatwo w nie uwierzyć. Trzeba o nich wspomnieć, aby wykazać ogrom przebytej drogi. Opis zaczynam od sytuacji, gdy pojawiło się pewne poluzowanie ograniczeń i nie trzeba było już starać się o pozwolenie na wyjazd w Tatry jako strefy nadgranicznej. Nie istniał jeszcze Polski Związek Alpinizmu, działały jedynie nieliczne kluby wysokogórskie, ulokowane w kilku większych miastach kraju. Niewielu taternikom zezwalano na kilkudniowe wyjazdy poza Tatry Polskie, w Tatry Słowackie. Studentów w Polsce było o milion mniej niż w 2019 roku, a więc tylko około 300 tysięcy. Działało Zrzeszenie Studentów Polskich oraz biuro Almatur, organizujące wycieczki dla studentów. W oparciu o te organizacje i PTTK powstawały liczne kluby studenckie, które zajmowały się turystyką. Niezwykle popularną formą spędzania czasu przez studentów była turystyka górska.

Góry i turystyka były dodatkowo formą odreagowania na wszechobecną systemową propagandę i cenzurę. To, co się śpiewało w schroniskach, o czym się swobodnie mówiło, może doczeka się osobnych opracowań historyków, jako pewna forma oporu społecznego przeciw panującemu systemowi. Wśród wielu form turystyki studenckiej coraz większym zainteresowaniem cieszyło się taternictwo.

Jego specyfika polegała na tym, że między zainteresowaniem a uprawianiem była długa droga szkolenia i zdobywania praktycznych umiejętności od starszych i doświadczonych kolegów. Taki rozwój dawał szansę na bezpieczne przetrwanie w górach.

Aby móc się wspinać w Tatrach (góry zagraniczne były z powodów polityczno-gospodarczych poza możliwościami) należało być członkiem Klubu Wysokogórskiego, przejść podstawowy kurs wspinaczki, a następnie dokonać określonej ilości wejść drogami taternickimi, pod okiem instruktora taternictwa. Instruktor z natury posiadanych wielu lat doświadczenia górskiego raczej nie był już studentem. A więc w środowisku studenckim brakowało instruktorów i doświadczonych mentorów. To była powszechna słabość wszystkich klubów studenckich, zrzeszających młodych adeptów taternictwa, która skłoniła te kluby do współpracy. Wspólną platformą stała się działająca przy ZSP oraz Almaturze FAKA.

W roku 1968 istniejące trzy studenckie kluby taternickie powołały do życia Federację, a ta zorganizowała pierwszy obóz wspinaczkowy w Tatrach. Kierownikiem obozu i prezesem wspomnianej Federacji był Marek Głogoczowski (UJ). Obóz był pomyślany jako oferta współpracy skierowana do środowiska studenckiego wszędzie tam, gdzie tworzyły się zalążki organizacyjne studenckiego ruchu taternickiego. Były to sekcje różnych klubów, w różnych środowiskach studenckich, które ze względu na słabość organizacyjną nie potrafiły organizować samodzielnej działalności taternickiej. Piszący te słowa był właśnie takim uczestnikiem tego obozu.

Środowisko taternickie tamtych czasów to pokolenie „Iluminacji" – sfilmowane przez Krzysztofa Zanussiego w roku 1973. Pokolenie romantyków, szukające porządku świata w naukach ścisłych i tatrzańskich ścianach. Pokolenie intelektualistów przekonanych o ważności tej iluminacji i jej bliskości, jeśli tylko spełni się pewne warunki rozwoju osobistego i nie pójdzie się na kompromisy i skróty wychwalane w życiu codziennym, poza górami i swobodą nauki. Ten film pokazał wspinanie jako znak identyfikacji pokolenia przełomu lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, czasu gdy FAKA tworzyła grunt do ekspansji.

Rok 1968, pierwszy rok działalności FAKA, odbił się na całym środowisku studenckim, pokazując cenę, jaką płaci się za prawdę i wolność. Dodatkowo środowiskiem taternickim wstrząsnął proces taterników. Marek Głogoczowski powrócił do Polski dopiero w latach osiemdziesiątych XX w. Efektem wypadków marcowych były zmiany w organizacji studenckiej i powstanie SZSP oraz liczne reorganizacje klubów i agend organizacji turystycznych. Pracami Federacji kierował Maciej Popko (UW). Z niepewności przyszłości rodziło się pytanie, czy nowe organizacje studenckie nadal będą wspierać realizację marzeń studentów? Czy należało być członkiem organizacji studenckiej? Alpiniści znali cenę swych wyborów i realizacji marzeń. Była ona wliczona w ich działania.

Kolejny Prezes FAKA, Andrzej Sikorski (SGPiS, UW), zginął w Himalajach, następnym został Marek Nowicki (UW) – późniejszy członek Komitetu Helsińskiego, prezes Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka.

Zainteresowanie taternictwem w środowisku studenckim rosło, powstawały nowe kluby i sekcje. Federacja odradzała się powoli i zaczynała systematyczną działalność. W środowisku studenckim wzrastało zainteresowanie turystyką specjalistyczną i kwalifikowaną. Dzięki ścisłej współpracy ze środowiskiem studenckim, Almatur przygotowywał coraz szerszą ofertę dla pojawiającego się zapotrzebowania. Powstawały struktury stałej współpracy, zwane później Federacjami Klubów Specjalistycznych, przybywało klubów, które zrzeszały wspinających się studentów. W kraju trwały przygotowania do powstania Polskiego Związku Alpinizmu. To ważny moment w historii Federacji. Zgodnie z prawem związek mogły zawiązać minimum trzy organizacje. W Polsce działał Klub Wysokogórski w oparciu o koła terenowe, Polski Klub Górski i Federacja Klubów Akademickich. Bliska współpraca

z Biurem i Komisją Turystyki SZSP, które dobrze rozumiały ważność przystąpienia do Związku, pozwoliła na to, aby Federacja poprzez swą reprezentację prawną, SZSP, stała się założycielem PZA (1974 rok). Od tego momentu wchodzące w skład FAKA kluby miały takie same prawa jak inne kluby PZA. A co dla nas było najważniejsze – członkowie tych klubów mieli prawo do wspinania się w Tatrach poza szlakami. Dotychczas mogli to robić tylko członkowie Klubów Wysokogórskich. Ponadto odtąd miały prawo też do prowadzenia szkolenia i egzaminowania. To zupełnie zmieniło realia działania. Pozwalało na samodzielność, własne siły. Liczebność klubów studenckich była coraz większa. Szybko wzrastała też liczba uczestników obozów, organizowanych w Tatrach Polskich i Tatrach Słowackich.

Prezesem FAKA w tym momencie historii był Adam Krawczyk (obecnie uznany polarnik). W czasie jego kadencji nastąpiły duże zmiany. Aby poprawiła się efektywność współpracy z BP Almatur, w skład Prezydium FAKA wszedł przedstawiciel biura. Był nim jako pierwszy Tomek Dziedzic, następnie Wiesław Krajewski, Włodek Banasik, Andrzej Półrolniczak. By zapewnić dalszy rozwój alpinizmu studenckiego, należało zwiększyć możliwości szkoleniowe klubów, czyli liczbę wspinaczy z doświadczeniem w górach lodowcowych. Służyły temu obozy alpejskie, prowadzone systemem szkoleń koleżeńskich, i wyjazdy o charakterze sportowym w góry wysokie.

W 1979 roku dotychczasowy członek Prezydium FAKA, a piszący te słowa, objął kierownictwo Federacji. Nie tylko obozów tatrzańskich mieliśmy w sezonie ponad 100, ale dzięki wypracowanym latami efektom wzrostu umiejętności coraz więcej było wyjazdów także w różne góry świata. Wspomnę o pewnych „kamieniach milowych" na tej drodze strategii rozwoju, konsekwentnie budowanej i kontynuowanej bez względu na to, kto w danym czasie przewodził Federacji. Szlak ten wytyczały: szkoleniowo–unifikacyjne obozy centralne w Dolomitach, Alpach Francuskich, (które zaowocowały m.in. pierwszym zimowym przejściem „Grand Diedro" na Marmolacie), centralne wyjazdy w Pamir – dające doświadczenie w wejściach na siedmiotysięczniki, centralne wyprawy w Himalaje Indyjskie. Dzięki takiej działalności powstawała szeroka baza doświadczonych profesjonalistów, mogących kierować akcją górską w dowolnych górach świata. Grupa studentów, wspinających się w Tatrach, dominowała liczebnie w geograficznym rozkładzie działalności w ciągu roku. Z czasem można było zauważyć, że liczba studentów, którzy wspinali się w sezonie letnim w górach świata (poza Tatrami), jest większa niż liczba wspinaczy z pozostałych klubów PZA. To było możliwe dzięki nadzwyczajnej roli i pracy biura Almatur, obsługującego te wyjazdy i zapewniającego dewizy, co było wówczas wyjątkowe.

W tym miejscu należy wspomnieć o jeszcze jednym ważnym aspekcie działalności w tamtych latach, który często umyka w analizach, a jest tak oczywisty dzisiaj, choć niekoniecznie był takim w czasach, które opisuję. To aspekt ekonomiczny funkcjonowania. Tak szeroka akcja wymagała znacznego finansowania. Jego źródłem był FASM, czyli Fundusz Akcji Socjalnej Młodzieży. Innowacyjne rozwiązanie, wymyślone przez działaczy młodzieżowych, które rozwinęło turystykę kwalifikowaną i dało jej szansę konkurowania na całym świecie. W ramach tego rozwiązania studenci mogli pracować i zarabiane pieniądze przeznaczać na akcję socjalną, rozumianą w naszym przypadku jako działalność wspinaczkową.

To zmieniło całą rzeczywistość. Bariera finansowa między alpinistami zachodnimi a nami drastycznie zmalała. I zależała tylko od determinacji i współdziałania. Działanie w tym okresie wymagało dużego wysiłku. Jeśli myślało się o alpinizmie jako o sporcie, to wiadomo – sportowiec jest człowiekiem, który trenuje, by osiągnąć najlepszy możliwy wynik. Sportowca wspiera klub, mający środki, aby pomagać mu w treningach i zawodach. W tym czasie alpinista robił wszystko oprócz treningu. Był menedżerem, pracownikiem malującym kominy, organizatorem wyjazdu, żebrakiem

proszącym o jedzenie na wyprawę, pakowaczem, transportowcem, dyplomatą, kombinatorem, finansistą w transakcjach walutowych, aż w końcu padającym ze zmęczenia pasażerem linii lotniczych, usypiającym w samolocie ciężkim snem po bezsennych nocach nerwowych przygotowań do wyprawy; wypoczywającym w ten sposób po trudach przygotowań, a przed długą i męczącą karawaną w nieznanych górach. Dopiero na końcu tego łańcucha działań był sportowcem, który musi „zrobić" wynik, bo jeśli go nie zrobi, to nie ma co marzyć o kolejnych „zawodach". Gwarancją sukcesu było współdziałanie i determinacja w działaniu.

Efekty takiej działalności pokazały, że nie tylko mogliśmy nawiązywać poziomem do czołówki światowej w tej dziedzinie, ale potrafiliśmy być jej twórczym partnerem i standardem dla innych. Alpiniści z Polski byli aktywni we wszystkich istotnych pasmach górskich. Byli liczącymi się uczestnikami wydarzeń górskich. W Katmandu na ulicach słyszało się język polski i Szerpowie przechwalali się znajomością polskich słów. Nie zawsze tych najgrzeczniejszych. Pokolenie Łojantów lat 70. XX wieku tworzyło bazę Lodowych Wojowników – zdobywców szczytów Himalajów i twórców złotego wieku polskiego himalaizmu, czyli ostatniego dwudziestolecia XX i początków XXI wieku. Wielu z nich tak jest nazywanych na kartach historii.

Nadszedł stan wojenny, czas trudny dla wszystkich. Udało się przeprowadzić federacje i kluby przez ten okres. Powstało ZSP – niby nic nowego, ale sytuacja była nowa. Posiedzenie Komisji Turystyki w Giżycku. Nowe dokumenty organizacyjne. Federacja w ramach nowej (starej) organizacji. Piszący te słowa oddał stery federacji w ręce młodszych (lata płyną) i odszedł z pracy na uczelni. Nowa rzeczywistość, nowe wyzwania, nowe możliwości, nowe zagrożenia tylko Góry te same.

Główne wierzchołki ośmiotysięczników Himalajów i Karakorum zostały zdobyte latem, zanim Polacy po wojnie dotarli w Himalaje. Do roku 2021 Polacy weszli jako pierwsi zimą na 10 z 14 ośmiotysięcznych szczytów. Ostatni zdobyto w tym roku. Nie dokonali tego Polacy mimo wielu wcześniejszych, mocno zaawansowanych prób. W ten sposób zamknięty został rozdział pierwszych wejść na najwyższe góry świata. Rozdział, w którym Polacy odegrali ważne role. Szansa, jaką dała nam przeszłość, została właściwie wykorzystana. Podstawą tych sukcesów były między innymi tysiące obozów tatrzańskich, setki wyjazdów w góry lodowcowe i dziesiątki wypraw w góry wysokie obsługiwane przez B.P. Almatur.

Marek Łukaszewski

Erazm Rozwadowski – pamiętamy

W 2021 roku zmarł Erazm Rozwadowski, taternik i alpinista, działacz organizacji alpinistycznych, w latach 1958–1961 prezes Klubu Wysokogórskiego Gliwice; miał 91 lat. W Tatrach wspinał się na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych XX w. W tym czasie był także uczestnikiem sportowego wyjazdu w Kaukaz i brał udział w zimowej alpiniadzie w Pirenejach.

W jego archiwum zachowało się kilka pamiątek działalności tatrzańskiej, m.in. zamieszczony dalej wykaz wejść w latach 1951, 1952 i 1953, w sezonach letnich i zimowych.

Obszerniejszy biogram Erazma Rozwadowskiego (autorstwa Ewy Bobrowskiej-Grzesik) można znaleźć na stronie internetowej KW Gliwice.

Małgorzata Kiełkowska

Erazm Rozwadowski

Imię i nazwisko

Klub Wysokogórski
Koło Gliwice

W Y K A

L. p.	Nazwa szczytu (przełęczy) i nazwa drogi	Nr drogi	Trudność	Czas według przewod.	Czas rzeczywisty	Po raz który przebył drogę
1	2	3	4	5	6	7
1.	Zamarła Przełęcz odpad	152	2	1	1,5	1
2.	Zamarła Turnia zach. grani	155	2	1/2	1/2	1
3.	Mały Kozi Wierch. sr. żlebem pn. ściany	130-AB	3/4	1 1/2	2	1
4.	Wielka Buczynowa T. pn. ściana	295	2	3	3	1
5.	Zadni Kościelec drogą Szczepańskich	93	3	1,25	1,5	1
6.	Zadni Kościelec - pdn. gran - w zejściu	106	2	1,0	1	1
7.	Zawratowa T. pn. grani	73	1	3/4	1/2	1
8	Nielicka T. wsch. grani	62	4	3/4	1	1
9.	Nielicka T. - w zejściu pn. ściany	52/57	1	1	1	1
10	Granaty - żlebem Stanisławskiego	218	3	2	3	1
11	Zawratowa T. wzdłuż Kordysa	74-ACDE	2	1 1/2	2	1
12	Zawratowa T. zejście pn. grani	73	1	3/4	1/2	2
13	Mylna Przełęcz zejście ku pn. zach.	83	2	3/4	3/4	1
14.	Kościelec - grani cz. zach. ściany	—	4	2	2	1
15	Mały Kościelec pn. grani	120	1	2	2	1
16.	Żółta T. lewym żlebem od zach.	255	1	1,5	2,5	1
17.	Żółta T. zejście pn. wsch. ściany	260	1	1	1,5	1
18	Kościelec pn. zach. grani od Kalatówek	110	1	3/4	1	1
19	Granaty - zach. żlebem Granatek ściana	212	2	1 1/2	2	1
20	Mylna Przełęcz przez Płytę	85	2	1 1/4	1,5	1

GZPT. 13 - 666 - 24. 6 58. - 1000 szt.

Sezon lato/zima 1951/52/53

Z WEJŚĆ

Data	Ilość osób w zespole	Nazwiska i imiona towarzyszy (prowadzących podkreślić)	Grupa górska	Uwagi
8	9	10	11	12
12.09.51	4	Michnowicz, Strumiłło.	T.W.	Drogi przejścia na kurnie dla początkujących na Hali Gąsienicowej. 11. 1951 z instr. T. Strumiłło.
12.09.51	4.	— " —	— " —	
13.09.51	2	Gańczarczyk - Rozwadowski	— " —	
14.09.51	2	— " —	— " —	
15.09.51	2	— " —	— " —	
15.09.51	2	— " —	— " —	
15.09.51	2	— " —	— " —	
15.09.51	3	Strumiłło - Gańczarczyk	— " —	
15.09.51	3	Strumiłło - Gańczarczyk	— " —	
16.09.51	2	Gańczarczyk - Rozwadowski	— " —	
17.09.51	2	Rozwadowski - Wielguś	— " —	
17.09.51	2	— " —	— " —	
17.09.51	2	— " —	— " —	
5.10.51	1	Rozwadowski - Skrzypkowa	— " —	drugie miejsce drogi Gregorzyka - Sigha Alpinist
27.12.51	6	Rudnicki, Hegerle	— " —	Drogi przejścia na ogólnopolskim kurnie zimowym Hala Gąsienicowa
28.12.51	3	Hegerle - Rudnicki	— " —	
28.12.51	3	— " —	— " —	
30.12.51	3	— " —	— " —	
3.01.52	3	— " —	— " —	
9.01.52	3	Lechnowska Jerzy i Zofia	— " —	

WEGA – SUPLEMENT

Damesme, Alice (t. VII, str. 114), uzupełnienie
Agussol-Damesme, Alice (1894–1974), alpinistka francuska, jedna z prekursorek wspinania w damskich zespołach w Alpach. MKi

Damesme, Maurice (XX – XXI w.), francuski alpinista i wspinacz skalny, jeden z wczesnych eksploratorów skałkowego rejonu Fontainebleau we Francji. Dokonał licznych pierwszych wejść w Alpach, wiele z nich z żoną alpinistką Alice Agussol-Damesme, prekursorką wspinania również w zespołach kobiecych. Razem weszli m.in. nową drogą na Dent de Jetoula, dokonali pierwszych wejść i przejść na Trident w Masywie Mont Blanc, Arête E de l'Aiguille du Lac Blanc, Arête W de l'Aiguille de la Tête Plate – wszystkie te wejścia w roku 1919. Oboje byli współzałożycielami (we wrześniu 1919 roku) klubu wspinaczkowego, który później został nazwany Groupe de Haute Montagne (GHM). Maurice Damesme wszedł także na Pointe Morin w masywie Mont Blanc (1922), Petit Dru i inne. MKi
Lit.: Tom de Lepiney, *Maurice Damesme*, „La Montagne" 1978, nr 2, str. 349.

Konopka, Krystyna (t. VI, str. 414), polska taterniczka i alpinistka zmarła 28.12.2021.

Kukuczka, Jerzy (t. VI, str. 436), uzupełnienie
Od 1 stycznia 2022 roku planetoida odkryta w sierpniu 2013 r. przez Michała Żołnowskiego i Michała Kusiaka będzie nosić nazwę Kukuczka – Planetoida (601731) Kukuczka. MKi

MacInnes, Hamish (t. VI. str. 476), uzupełnienie
Brytyjski alpinista zmarł 22 listopada 2020. Doctor honoris causa szkockich uniwersytetów: Heriot-Watt University (w 1992) i University of Stirling (w 1997) Za zasługi dla alpinizmu i kultury górskiej odznaczony Orderem Imperium Brytyjskiego. MKi

Manda, Andrzej (t. VI, str. 484), polski taternik i alpinista zmarł 6.03.2019.

Mantovani, Roberto (ur. 1951 w Torre Pellice), włoski alpinista, turysta górski i narciarz; dziennikarz zawodowo zajmujący się historią alpinizmu europejskiego i światowego. Autor licznych książek o tematyce górskiej, m.in.: *Everest. Storia del gigante himalayano (Sfide in alta quota)* (2007), *La scoperta dell'alta quota* (2007), *Dal Cervino all'Himalaya* (2007, współautor Mario Piacenza), *Enigma Himalaya. Invenzione, esplorazione, avventura* (2010, z Kurtem Diembergerem), *Ritratti da parete. 80 interviste di TGR montagne* (2013, współautor Alberto Gedda), *Appigli invisibili. La grande stagione dell'arrampicata estrema* (2014), *La Conquista Degli Ottomila. Una Splendida Follia* (2015), *Monviso. L'icona della montagna piemontese* (2016); *Coed Ital les grands alpinistes: des precurseurs aux conquerants des 8000*. MKi

Marciniak, Andrzej (t. VI, str. 488), uzupełnienie i sprostowanie, data urodzenia powinna być: 23.05.1959 Kolbudy. MKi

Madsen, James Thomas (Tim) (1947 – 16.10.1968 El Capitan), amerykański alpinista i wspinacz skalny. Przechodził najtrudniejsze drogi w wielu skalnych rejonach świata. Zginął na El Capitanie, usiłując przyjść z pomocą przyjaciołom. MKi
Lit.: Royal S. Robbins, J*ames Thomas Madsen*, „American Alpine Journal" 1969, s. 496-497.

Nirmal Purja (ur. 25.07.1983 w Myagdi), alpinista nepalski; był zawodowym wojskowym, służył m.in. w oddziałach Gurków. Pierwszym wysokim szczytem, na który wszedł (w 2012), był sześciotysięcznik Lobuche. W roku 2019 w ciągu siedmiu miesięcy, od kwietnia do października, zdobył wszystkie ośmiotysięczniki Korony Himalajów i Karakorum. Zaczął od Annapurny, zakończył Koronę wejściem na Shisha Pangmę. Rok później na podstawie jego zdjęć został zrealizowany film dokumentalny *14 Peaks: Nothing Is Impossible*. W 2021 roku należał do grupy dziesięciu Szerpów, która dokonała wspólnie pierwszego wejścia zimowego na K2. Na wierzchołku góry Szerpowie, wszyscy razem, stanęli 16 stycznia. Odznaczony Orderem Imperium Brytyjskiego. MKi

Noë, Heinrich (August) (16.07.1835 Monachium – 26.08.1896 Bolzano), niemiecki podróżnik i pisarz znany z podróży i wędrówek po rejonach alpejskich oraz opisów natury. Od 1853 studiował nauki przyrodnicze i filologię w Monachium, później w Erlangen. W latach 1854–1864 uzyskał tytuł doktora filozofii. Od 1857 roku pracował jako bibliotekarz w dworskiej bibliotece w Monachium, a także w tych latach w Brytyjskim Muzeum Historii Naturalnej w Londynie W 1863 zrezygnował z pracy w bibliotece i rozpoczął podróżowanie; często odwiedzał Alpy, zwłaszcza niemieckie. W 1875 osiedlił się w Wiedniu.

Autor licznych książek. Opisywał przede wszystkim krajobrazy Alp i sąsiednich rejonów, m.in.: *Bairisches Seebuch* (1865 ...1982), *In den Voralpen* (1865), *Oesterreichisches Seebuch* (1867), *Neue Studien aus den Alpen* (1868), *Brennerbuch* (1869), *Dalmatien und seine Inselwelt nebst Wanderungen durch die Schwarzen Berge* (1870), *Bilder aus Südtirol und von den Ufern des Gardasees* (1871) i w końcu czterotomowe dzieło *Deutsches Alpenbuch. Die deutschen Hochlande in Wort und Bild (1875–78)*. Jego późniejsze publikacje to m.in.: *Robinson in den Hohen Tauern* (powieść, 3 tomy); *Winter und Sommer in Tirol* (1876), *Ein Tagebuch aus Abbazia* (1884), *Toblach-Ampezzo und die Dolomite[n] des Höhlenstein-Ampezzaner Thales* (1889), *Sinnbildliches aus der Alpenwelt* (1890), *Arco und Umgebung* (1890), *Geschichten aus der Unterwelt* (1892), *Bergfahrten und Raststätten* (1892).

Noë cieszył się sławą znawcy Alp i zwracano się do niego z propozycjami, aby opracowywał przewodniki po większych obszarach i monografie licznie odwiedzanych rejonów i miejscowości. I tak powstały m.in.: *Deutschen Alpen* (pierwszy tom, 1877), a także seria małych przewodników (*Ampezzo und seine Dolomiten*; *Gastein und seine Nebenthäler; von Klagenfurt nach Villach, Tarvis Kärtner Seen* – wszystkie w 1880). W Zurychu ukazała się seria *Europäische Wanderbilder: Villach und seine Umgebung* (1882), *Die österreichische Südbahn* (1883), *Die Brennerbahn vom Innstrom bis zum Gardasee* (1883), *Von der Drau zur Adria* (1884), *Gmunden* (1890) i inne, jak: *Innsbruck* (1889), *Berchtesgadener Land* (1898). MKi
Lit.: A. Dreyer, *Ein Meister der alpinen Schilderungskunst*, „Zeitschrift des Deutschen und Österreichischen Alpenvereins" 1933, s. 219-229; *Heinrich Noë zum Gedenken*, „Bergsteiger" 1956–1957, Chronik s. 116.

Reid, Christine Lincoln (8.05.1906 Belmont – 4.05.1990 Buzzards Bay), „Pussy" lub „Pooh", amerykańska pionierka alpinizmu kobiecego, narciarka, realizatorka filmów. Po ukończeniu szkoły w Bostonie studiowała dwa lata w Museum School przy Muzeum Sztuk Pięknych w Bostonie; specjalizowała się w rysunku. W 1929 roku zainteresowała się wspinaniem, weszła na Assiniboine w Kanadyjskich Górach Skalistych, dwa lata później wspinała się m.in. w pasmie Teton, gdzie weszła na Grand Teton. Wysokie szczyty zdobywała w rejonie Zermatt w Alpach Pennińskich; dokonała wejść m.in. na Monte Rosa (Marinelli Couloir), Dent Blanche przez Viereselgrat i Matterhorn granią Zmutt. W 1936 przeszła liczne drogi w Dolomitach, m.in. nową drogę na Piz Popena, którą nazwano później jej imieniem – Via Christina. W Kanadyjskich Górach Skalistych, gdzie wspinała się w rejonie Columbia Icefield (w 1938), była pierwszą kobietą na Mount Columbia. Rok później dołączyła do kobiecej wyprawy na Mount Confederation, alpinistki (także Elizabeth Knowlton, Margarite Fuller i Frances McGuire) dokonały rekonesansu, lecz zabrakło im czasu na wejście na szczyt. W latach 30. XX w. aktywnie zajmowała się narciarstwem; fotografowała zawody i większe imprezy narciarskie. Zrealizowała film o technice narciarskiej. Reid publikowała artykuły w czasopismach: „Appalachia", „American Alpine Journal", „Boston Globe". Zrealizowała nieme filmy: *Klettershuh: Climbing in the Dolomites*, *Fundamentals of Skiing* oraz dokumentalny T*he Pioneering Mountain Climber and Skier Who Filmed Her Own Exploits*. Należała do damskiego Women's Travel Club i przyczyniła się do założenia w Nowej Anglii oddziału Explorer's Club.
Lit.: K.A. Henderson, *Christine Lincoln Reid*, „American Alpine Journal" 1991, s. 345–346.

Varale, Vittorio (21.04.1891 Piedimonte Matese – 26.11.1973 Bordighera), włoski wspinacz, alpinista, pisarz i dziennikarz sportowy, autor książek o tematyce wspinaczkowej i alpinistycznej: *Avventure su due ruote* (1964), *La battaglia del sesto grado (1929 – 1938)*, [1965], *I Vittoriosi* (1969), *Sotto le grandi pareti* (1969), *Sesto Grado* (1971, współautorzy Reinhold Messner i Domenico Rudatis), *Arrampicatori* (1998). W sportowym dzienniku „Gazzetta dello Sport", zamieszczał wywiady z wybitnymi alpinistami i ludźmi gór, m.in.: Reinholdem Messnerem, Simone Badier, kardynałem Juliusem Döpfnerem. MKi
Lit.: Giuseppe Sorge, *Vittorio Varale*, „Rivista Mensile del CAI", 1974, s. 173-177; th, *Vittorio Varale ist tot*, „Alpinismus" 1974, nr 2, s. 51.

Waffl Mount (2913 m), szczyt w Kanadyjskich Górach Skalistych, w Kolumbii Brytyjskiej; wznosi się ok. 2 km na pn.-wschód od Mt Robsona, między lodowcami: Berg Glacier i Robson Glacier. 1. wejście: 1934 W. R. Hainsworth i M. M. Strumia. W tym samym roku nazwany imieniem amerykańskiego alpinisty, który w 1930 zginął w lawinie podczas próby solowego wejścia na Mount Robson. MKi

Zawadzki, Ryszard Adam Ostoja- (t. VI, str. 842), polski taternik i alpinista zmarł 13.08.2021.